№ 43 Warszawa, dnia 10 (22) Października roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w
LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar.
w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

WAŻNE PYTANIE.

II.

Przeczytawszy uważnie podane przez autorki Wareg i Gozdawa projekta, otrzymujemy wrażenie, jakiego się doznaje na widok ociemniałego szukającego drogi; kroki jego niepewne, ruchy krępowane, a zmysłem dotykania chce wyszukać wyjścia z niemiłego więzienia.

Zadziwia nas to staranne omijanie nazwania rzeczy po imieniu, bo i czegóż pragnie tak jedna, jak i druga autorka? Oto — uniwersytetu i to z obszerniejszym jeszcze programem aniżeli istniejące męzkie, gdyż prócz wydziału filologiczno-historycznego i matematyczno-przyrodniczego, żądają specyalnie pedagogii. Takie a nie inne znaczenie może mieć widział pedagogiczny, któryby dostarczył profesorek w średnich zakładach i to bez żadnego ograniczenia co do klas wyższych. Każdy niemal z nauczycieli wykładający w klasach wyższych poświęcając się w uniwersytecie specyalnie jednemu z obranych przedmiotów — praktykę w zawodzie nauczycielskim zdobywał li na drodze samopomocy i wskazówek teoretycznych. Pedagogia wymaga zaś koniecznie praktyki i w tym celu istnieją osobne zakłady zwane w Galicyi „seminaryami nauczycielskiemi”, w których każda kandydatka prócz nauki teoretycznej, kształci się praktycznie ucząc dzieci w szkole złączonej z seminaryum.

Gdybyśmy tedy jeden tylko „wydział pedagogiczny” chcieli wprowadzić w życie, jak to sobie życzą autorki, a więc nauki humanitarne i przyrodnicze z praktyką pedagogiczną, to bardzo wątpię czy roczny dochód 13,500 rs. pokryłby wydatki bieżące, pomijając już samą ubikacyą i urządzenia nieodzowne, jak: ławki, gabinety, podręczna biblioteka i t. d.

Obok tego wydziału, chciałyby autorki mieć wydział handlowy. Dla mężczyzn istnieją osobne akademie i szkoły handlowe, stanowiące same w sobie całość, żaden z uczących się na uniwersytecie (naturalnie są wyjątki jak zawsze i wszędzie) „nie umie ksiąg buchalteryjnych prowadzić, nie zna się na towarach, nie wie o głównych miejscach pokupu”, są to rzeczy specyalne, obchodzące kupców i bankierów, a jeśli pragnie kto zaznajomić się z tą nauką, udaje się do specyalnych szkół.

Mamy więc projekt w projekcie, bo ów rzekomy uniwersytet miałby obejmować taką gałęź wiedzy, która sama dla siebie tworzy oddzielny zakład naukowy.

Dziwi nas również i to, że szanowne autorki nie poinformowały się poprzednio, czy gdzie i w jaki sposób ów wydział handlowy jest wykładany, a obaczyłyby, że w Warszawie istniejące szkoły rzemiosł dla kobiet wciągnęły w swój program tak buchalteryą jakoteż znawstwo towarów, że zatem kobieta pragnąca się kształcić w tym kierunku, może zadość uczynić swej chęci czy potrzebom.

Co do oddziału gospodarstwa wiejskiego, już Gozdawa oponowała, zwracając słusznie uwagę na to, że podobne zakłady wymagają nieodzownie praktyki, a ta w mieście jest niemożebną, a i to pamiętać należy, że w danym razie, gdyby i założono podobny zakład wydziału gospodarstwa wiejskiego, byłoby nader trudną rzeczą a według naszego zdania niemożliwą, zastosować tę naukę dla kobiet. Rola ekonoma, pisarza, rządzcy czyż nadaje się do natury kobiecej? Czy znaleźlibyśmy dostateczną liczbę kobiet, chcących się poświęcić temu zmudnemu powołaniu i czy wydołałyby? Czy którykolwiek z właścicieli ziemskich przyjąłby kobietę do zarządu agronomicznego swym majątkiem?

Podobnież „weterynarya”, i ona stanowi odrębną naukę, wymagającą szpitala dla zwierząt, osobnych budynków, znajomości łaciny etc. — czyż opłaciłaby się ta nauka kobietom — w której idzie przedewszystkiem o zyskanie środków do życia?

Żądanie założenia wydziału aptekarskiego jest może jeszcze najracyonalniejsze i prawdopodobnie najwcześniej otworzy się to pole dla pracy kobiet, gdyż sama technika tego zatrudnienia jest przystępną i łatwą dla nich. Drobnostkowość, systematyczność i skrupulatność, są niemal wrodzone kobietom, a i spokojna, w miejscu zamkniętem praca skłania nas do uznania, że farmaceutyczne zatrudnienie powinno dać potrzebującym odpowiedni rodzaj pracy i względnie dobrze się oprocentować.

Naturalnie, że i w tym fachu natrafi się na trudności, na opozycyą, wiemy nawet, że pp. aptekarze niechętnie przyjmowaliby kobiety, ale mamy nadzieję, że opór ten możnaby przełamać silną wolą i zdolnościami.

Nie ma może nauki, którаby tak roznamiętniała zwolenników i przeciwników, jak medycyna. Jakież to anathema rzucano na kobiety, które uczyły się medycyny,—odsądzano je od czci i wiary, zaprzeczano im nazwiska kobiety, okryto pogardą i wyśmianiem, słowo „studentka” stało się niemal synonimem zepsucia. I powołani i niepowołani rzucali wokoło to gromami złorzeczeń, to dytyrambami pochwały — przeniesiono tę walkę na pole powieściowe, któreto utwory czytane były chciwie i wywoływały namiętne spory. Jednem słowem, była to zwykła kolej każdej nowej, donośnej idei, która sobie toruje drogę. Dziś zgodzono się powszechnie, że medycyna jest powołaniem i nauką odpowiednią dla kobiet, a nawet bardzo potrzebną i pożyteczną.

Mamy tedy zasadę, lecz jakież to zastrzeżenia częstokroć dziwne można usłyszeć z ust kobiet.

Nie szukając daleko, weźmy pod uwagę artykuł autorki Wareg.

Mają wykładać „zacni i poważni wiekiem ludzie”, następnie należy omijać i zabronić „luźnych żarcików”, kobieta musi skończyć „lat *23*”, niewolno zostawać innym lekarzem, jak „tylko chorób dziecinnych i kobiecych” i t. d. i t. d. Nie skończylibyśmy z wyliczaniem owych zastrzeżeń, które są tylko dowodem, że autorka nigdy nie zajmowała się książkami odnoszącemi się chociażby do ogólnej hygieny i abecadłowej anatomii.

Gdyby kiedykolwiek, o czem bardzo wątpimy, podobny zakład, jak określono w programie, założono i podobnej medycyny uczono, przyznajemy się, że takiej kobiecie-lekarce nie powierzyłby nikt dziecka lub żony.

Mężczyźni wstępują na uniwersytet np. na wydział medyczny zwykle w 18 roku życia, a przyzna nam każdy, że mężczyzna w tym wieku jest mniej rozwinięty umysłowo i fizycznie, aniżeli kobieta, i bez żadnych zastrzeżeń słucha anatomii — a i to musimy powiedzieć z doświadczenia, że każdy profesor anatomii wykłada ustrój organizmu tak poważnie, iż żadnemu ze słuchaczy nawet na myśl nie przyjdzie uczynić ekskursyą w krainy dwuznaczników. Nauka i wiedza zbyt wysoko i poważnie jest pojmowana i wykładana po uniwersytetach, by jej adepci pozwolili sobie na lekceważenie, a cóż dopiero na ”luźne żarciki”!?

Jeśli się zgodzimy na naukę medycyny, to nie narażajmy się na śmieszność wygłaszaniem zastrzeżeń; bądźmy konsekwentni. W tym wypadku szukanie drogi pośredniej jest bezcelową i bezowocną plątaniną. Mówiąc to nie mamy na myśli tylko autorkę Wareg, ona była echem przekonań pewnej warstwy kobiet i nasze argumenta nie do niej się stosują, ale do podobnie nad tak ważnym przedmiotem zastanawiających się.

Czyż potrzebujemy dodawać że podobny wydział jest, jak na dzisiaj, niemożliwym, a kwota obliczona przez autorki 13,500 rs. kroplą w morzu. Dość przejść się po klinice, gabinetach, szpitalach, aby powziąć wyobrażenie o olbrzymich sumach, potrzebnych na podobne zakłady. O założeniu więc osobnego wydziału medycznego nie ma co i marzyć — zostaje nam wspólność wykładu z mężczyznami. Jest ona z *początku* przykrą, ale wiemy to od osób, które przechodziły ten chrzest, że tak studentki jak i studenci wkrótce oswajają się z tą koniecznością i kobiety *nic* na tem nie tracą. Zarzut, że kobieta traci moralnie przy nauce medycyny, nie ma racyi bytu.

Jesteśmy u końca programu podanego w „Echu”, ocenialiśmy go bezstronnie, bez powziętych z góry sympatyi lub antypatyi, li tylko staraliśmy się liczyć się skrupulatnie z istniejącemi stosunkami. Część teoretyczna, jak widzimy, jest niemożliwą do przeprowadzenia i wykonania: drobna sumka 13,500 rs. nie starczyłaby na opłatę profesorów gimnazyalnych a cóż dopiero uniwersyteckich a zebranie 10 rs. od każdej rodziny — jest marzeniem. Dano 10 rs. na założenie stowarzyszenia „Merkurego”, gdyż tam były materyalne, namacalne zyski i procenta i była hypoteka: tu inny zupełnie stan rzeczy.

Na tej więc drodze nic dodatniego stworzyć się nie da, a przyznając w zupełności dobre, szczere i bezinteresowne chęci paniom autorkom, musimy stanowczo orzec, że są to piękne... zamki na lodzie.

Lecz czyż mają kobiety opuścić ręce i czekać fatalistycznie końca, czekać aż ziemia zacznie się im z pod nóg usuwać a burza zawiśnie tuż nad niemi?

Wcale nie! — My z naszej strony nie stawiamy programu, nie pragniemy uniwersytetu (na razie) dla kobiet, ani owych specyalnych szkół czy akademii, lecz jedynie rzucamy myśl, a rzeczą wpływowych *kobiet* będzie, by ona zmodyfikowana i zastosowana do stosunków i potrzeby, została urzeczywistnioną.

Z nauki historyi wynieśliśmy to przekonanie, że każda nowa idea najłatwiej się przyjmuje zastosowując się do już istniejących i będących w rozwoju form przyjętych przez społeczeństwo — to też można zadość uczynić żądadej przez autorki reformie, jeśli zdołamy nadać jej takie formy, by ona łatwą była do wykonania i nie narażała na zbyt wielkie trudności.

Myli się szanowna autorka Gozdawa narzekając na straszliwy chaos w główkach panien kończących pensyonat i wyśmiewając ich zdolność w wyliczaniu nazwisk i dat historycznych. Są to nieodzowne skutki wychowania średniego, które daje ramy, a uzupełnienia każe szukać w własnej pracy i samodzielnej nauce.

Chaos zaś ów jest nieodstępnym towarzyszem przeładowania umysłu rozlicznemi przedmiotami, na taki sam chaos cierpi każdy uczeń, kończący gimnazyum i dopiero samodzielna nauka na uniwersytecie porządkuje nabyte wiadomości.

Pragniemy więc dla kobiet przedewszystkiem tego uporządkowania i zgłębienia nauki, tak w celach zaokrąglenia humanitarnego wykształcenia, jakoteż łatwiejszego zarobku na chleb.

Sądzimy tedy, by zostawiając na razie wszelkie reformy programów pensyi żeńskich, uznając je jako wystarczające na przyjęcie wyższych kursów. postarać się o utworzenie przy *istniejących już* sześcioklasowych pensyach kursu wyższego, dajmy na to historyi, literatury i lingwistyki, trwającego dwa lub trzy lata. Każda z pań przełożonych zgodziłaby się chętnie na utworzenie takiego wyższego kursu płatnego,—upadłaby potrzeba najmowania lokalu, utensyliów etc., a co więcej panny z wyższych kursów mogłyby praktycznie uczyć się pedagogii, mając tuż obok klasy niższe. Podobny kurs wyższy mógłby być tak dobrze interesem materyalnym jak jest moralnym, nie byłoby to żadnem dobrodziejstwem i nie zachodziłaby potrzeba odwoływania się do dobroczynności publicznej, chociażby w formie owych dziesięciorublowek. Ale dajmy na to pani X. przełożona zgodziła się, dostateczna liczba uczenic zapisała się na ten kurs, odpowiedni profesorowie zobowiązali się do wykładu — byłoby to już wiele, ale czyż to da im dostateczne środki do życia, czy przeszedłszy ten kurs wyższy znajdą łatwo odpowiednią pracę i płacę?

Odpowiadamy: nie!

Nieodzownie potrzeba zyskać przywilej rządu, że panny kończące taki a taki kurs u pani X. mają prawo wykładu, nauczania i piastowania urzędów np. nauczycielskich w takimto zakresie bez składania egzaminu rządowego.

Czyż potrzebujemy wskazywać czyim to obowiązkiem jest wystaranie się o podobny przywilej? Czyż te panie, które tradycyą i nazwiskiem zbliżone są do sfer rozstrzygających, a tak często rozprawiają o ofiarach i poświęceniach — nie mogłyby choć w tym razie przysłużyć się dodatnio swemu społeczeństwu i nie mówimy już o założeniu własnemi siłami, lecz o rozszerzeniu istniejącego programu dać możność biedniejszym zyskania wiedzy, stanowiska i utrzymania!

Zresztą powstrzymujemy się od wszelkich rad i uwag; zadaniem naszych artykułów było z jednej strony wskazać *czego chcą* kobiety, a z drugiej—czego można się spodziewać i *co mają robić.*

W końcu niech nam wolno będzie zaprotestować przeciw pessymistycznym poglądom autorki Gozdawa, która głosi, że „świat pozwala na gruntowne i specyalne wykształcenie kobietom samotnym, lękając się tego przymiotu dla żon i matek”. Swiat (pod którym zdaje się autorka mężczyzn rozumie) nietylko że się nie lęka gruntownej i specyalnej nauki dla kobiet, ale wysoko ją ceni i czci, gdy spotka na swej drodze, jak tego mamy tysiączne dowody, chociażby z utartego frazesu, którym się chlubi każdy ojciec i mąż mówiąc o kobiecie „wysoko wykształcona”, a lęka się jedynie niedouczonej uczoności pozowania na specyalistki i tym podobnych nieszczęść, od których każdy ucieka jak najdalej.

A. Gruszecki.

KAPELUSZ SWATEM.

MONOLOG NAŚLADOWANY Z FRANCUZKIEGO,

przez

Sewerynę Duchińską.

I któżby-to powiedział? wpadłeś ptaszku w sieci.
A więc jam ożeniony, już temu dzień trzeci.
Akt ślubu zapisany w urzędową księgę,
Świadkowie wykonaną słyszeli przysięgę,
Ksiądz związał moją rękę z jej bieluchną rączką,
I okuł mnie na wieki tą złotą obrączką.

Mam żonę... czy to prawda? może sen ułudny,
Ja, uznany bałamut, w wyborze tak trudny,
Ja, com w próżnych zalotach strawił młode lata,
Jak motyl co od róży do róży przelata,
Ja, postrach biednych ojców i roztropnych matek,
Mnie przyszło kark pod jarzmo poddać naostatek!
Mnie związać się z kobietą wiecznemi ogniwy...
Jakto? jam ożeniony? — dziwy... istne dziwy!

Zkądże ta nagła zmiana? zapyta ktoś może,
Niech zgaduje kto mądny!... sto w zakład położę,
Tego jeszcze nie było, ręczę, jak świat światem:
Patrzcie na ten kapelusz... on moim był swatem:
— „Kapelusz... czy podobna?

— „Tak jest, nieinaczej.

— „A to jak?”

— „Kto ciekawy niech posłuchać raczy:
Parę miesięcy temu, gdy po karnawale
Ucichły tańcujące herbaty i bale,
Na raut do hrabiny i mnie zaproszono...
Idę... widzę w salonie liczne gości grono:
Ogarnąłem oczyma panny i mężatki,
Panny się uśmiechnęły, zmarszczyły brew matki:
W sali jasno, wyborne do popisu pole;
Kapelusz mi zawadza — kładę go na stole,
Przy świeczniku, pod ścianą: mam go wciąż na oku,
Bym mógł niepostrzeżony wyśliznąć się z tłoku.
Chmura gości napływa, pełne wszystkie kąty,
Wreszcie zaczął się koncert o pół do dziesiątej.
Artyści wykonali tercet Bethowena,
Ktoś zagrał Rapsod Liszta, ktoś nokturn Szopena,
Hrabina wykonała aryą z Trawiaty,
Posypały się hurmem oklaski i kwiaty;

Ledwie że słabe dźwięki me ucho sahwyciło,
A przecie w obie ręce biłem z wielką siłą,
Bo tak drudzy czynili...

Stałem w progu sali.
Patrzę, a oto za mną o krok jeden dalej
Stoi wysoki wąsal z ogorzałą cerą,
Postać to zamaszysta, znać w niej duszę szczerą,
Ale biada śmiałkowi co mu wlezie w drogę!
Spojrzał na mnie z ukosa, i uczułem trwogę.
Ja, co się byle kogo łatwo nie zastraszę,
Com się dzielnie potykał — dwakroć na pałasze,
Trzykroć na pistolety, i nie cofnął kroku,
Musiałem spuścić oczy wobec tego wzroku.

Już umilkła muzyka, rozniesiono lody,
Wtem patrzę, na estradę wchodzi człowiek młody.
Włos ciemnemi kędziory na szyję mu spada,
Oko czarne, zapadłe, cera żółto-blada,
Poeta! nieinaczej... zwój papieru trzyma,
Po sali ognistemi zatoczył oczyma,
Aby zbudzić w obecnych współczucie tem szczersze,
Podniósł głos, z ust natchnionych sypnęły się [wiersze.

— Ha, te przeklęte wiersze! szczególna ich władza,
Wnet na moje powieki twardy sen sprowadza!
Chciałbym słuchać — napróżno!... nie pochwycę [wątku;
Siłą woli jak mogę trzymam się z początku,
Lecz w miarę jak poeta w wyższy zachwyt wpada,
Czuję, głowa mi zwisła na ramię sąsiada.
Zerwałem się... powstaję, trę czoło w rozpaczy,
Wszakże w myśli mej sennej coś dziwnie majaczy,
Ziewam..... do szpiku zimne przebiegły mnie [dreszcze,
Jam gotów się potoczyć, gotów chrapnąć jeszcze,
Dopierożby szydzono, mam zawistnych tylu!
Latajże za różami mój piękny motylu,
Gdyś okryty śmiesznością!... oburza się dusza
Na tę myśl... i oczyma szukam kapelusza.
Wiem, leży tam na stole, pod ścianą... niestety!
Ów stół potrójnym wieńcem oplotły kobiety;
Kto szaniec ten przełamie, co tak oczy wabi,
Spiętrzony z piór i kwiatów, z fryzur i jedwabi!
Lecz ja dziś obojętnie patrzę na te cuda,
Śledzę baczną źrenicą, czy się gdzie nie uda
Wstępnym bojem, czy zdradą uczynić wyłomu,
Pochwycić za kapelusz i... uciec do domu.

Wtem dwie młode panienki, aby słyszeć lepiej,
Wybiegły naprzód z koła... ich wdzięk nie oślepi
Mych źrenic—inny przedmiot uganiam z zapałem.
Pod świecznikiem na stole kapelusz dojrzałem,
Mój własny, znam go dobrze, do góry dnem leży,
Czarny jak krucze skrzydło, błyszczący i świeży.

Słodko się doń uśmiecham i poszepnę w duchu,
„Gdybym mógł ciebie zdobyć!... gdybyś ty mój [druhu
Mógł zbiedz w moje objęcia skrzydły jaskółczemi,
Lub jak wąż do stóp moich przypełzać po ziemi,
Podjął-bym cię z miłością, wyrwał się z tej toni,
Gdzie do snu mi pobudkę głos poety dzwoni.
Z tobą progbym przeskoczył i pobiegł ulicą,
Tam, na czarnym tle nocy roje gwiazdek świecą,
Tam rozbudzi mnie ze snu jakiś powiew szerszy,
Tam cisza, tam przynajmniej nikt nie czyta wierszy.
Chodź do mnie przyjacielu!"

— „Dość tego mój panie!
Zawoła głos chrapliwy, i w oczy mi stanie
Mój wąsal ogorzały, wiem ja co się dzieje,
My przez was wartogłowów zwani hreczkosieje,
Nie damy jak Bóg Bogiem dmuchać sobie w kaszę,
Strzeżem by oka w głowie młode córki nasze,
Wara od nich paniczu!"

Drżę jak liść osiny.
Lecz tłumię wybuch gniewu.

— „Jam panie bez winy,
Wszak nie znam jego córki, śmiało za to ręczę!
— „A przecież od godziny patrzysz w nią jak [w tęczę."
— „Wcale jej nie widziałem, daję panu słowo!"
— „Ta panienka przy stole, z wstążeczką różową,
To przecież moja córka, me jedyne dziecko.
Pan chciałbyś ją oczyma ujarzmić zdradziecko,
Znam takich jak wy ptaszków!... ja w ciemię nie [bity,
Zwodzić niewieście serca, to wasze zaszczyty!

— „Skończ pan raz!"

— „Na mój honor ja oczu nie zmrużę,
Znane mi twoje sprawki—wilk w baraniej skórze,
Pięć ofiar kłamliwemi stumanił wyrazy,
Pięć razy miał się żenić, i zerwał pięć razy.
A teraz w moje dziecko śmie strzelać oczyma,
Ale ojciec nad córką straż bezpieczną trzyma,
Wara od niej paniczu!"

— „Lecz zaręczyć mogę,
Panu ni jego córce nie chcę wchodzić w drogę,
Może pan być spokojny, niepotrzebna warta,
Ja nie patrzałem na nią!...

— „Na kogoż, do czarta!
Patrzysz tam? Raz potrzeba przerwać tę swawolę!"
— „Patrzę na mój kapelusz co leży na stole."
— „Szydzisz! skarcić zuchwalca powinność mnie [zmusza!"
— „Nie szydzę, pragnę tylko... pragnę kapelusza!"

Krew zawrzała mi w żyłach, czułem zamęt w głowie,
— „Szaleniec! pomyślatem — biedni ci ojcowie,
Myślą, że w ich córeczkach świat kocha się cały!"

Poeta prawił swoje: pompatycznie brzmiały
Ostatnie jego rymy, snać do końca blizko;
Mój wąsal wciąż mamrocze — poczciwe ojczysko!
— „To córka moja własna!"

— „Mój kapelusz własny!"
Powtarzam niecierpliwie, aż tu w ciżbie ciasnej:
„Cichoż moi panowie!" szepnie głosów kilka.
Milczym, lecz wąsal na mnie patrzy jak na wilka;
Wzrok jego wskroś mnie bodzie i lica mi pali.
Skończył wieszcz, grzmot oklasków rozległ się po [sali.

— Kto jestem, rzecze wąsal, jutro pan się dowie,
W południe moją kartę wręczą mu świadkowie.

—Ja w zamian poślę moją, odrzeknę z pokłonem,
Przeciskam się jak mogę między świetnem gronem,
Wśród służby roznoszącej cukry i sorbety,
Wreszcie jak tryumfator dobiegam do mety;
Przez złamane szeregi, wnet drogę otworzę.

— Ha!... pan do kapelusza dostać się nie może..."
Poszepnie słodki głosik, istny śpiew słowiczy:
Spojrzę — a toż — to anioł w postaci dziewiczej,
Róża w pierwszym rozkwicie wydobyta z pączka!
Sięga ręką za siebie... jak cudna ta rączka!
Podjęła mój kapelusz ze stołu...

— Ah, dzięki!

— Pan jak widzę okropne przecierpiałeś męki,
Walczyć ze snem, doprawdy, rzecz niełatwa wcale,
Pragnęłam ten kapelusz przerzucić przez salę,
Pan go litościwemi śledziłeś oczyma,
Nie było jednak rady — świat nas w więzach [trzyma!
Ależ ja tu szczebioczę... panu snu potrzeba,
Dobranoc!...

Oniemiałem... ah! to anioł z nieba!
Widziała co ja cierpię... jej serce tak czyste
Odgadło, że nie dla niej spojrzenia strzeliste,
Które słałem z daleka do innego celu.
O! takich serc niewinnych dziś nie znaleźć wielu,
Chciałem mówić, lecz z ust mych nie wybiegło [słowo,
Spostrzegłem na jej włosach wstążeczkę różową,
To ona, jego córka!...

I nie tracę chwili,
Biegnę do mego wroga.

— Tak, pan się nie myli,
Jego córka niewinna porwała mi duszę;
Tego skarbu drogiego ja godnym być muszę.
Tak, jam niegdyś zawinił, ale młodość płocha,
Ten gotów się odrodzić, kto prawdziwie kocha,
A ja kocham ją szczerze, kocham duszą całą!

— Kto? pan! i oko wroga dziwnie złagodniało;
Wyciągnął do mnie rękę.

Schwyciłem ją drżącą,
Tak jakoś przemówiłem rzewnie i gorąco,
Że łza zbiegła mu z powiek, czoło trysło potem.

— Poznajmy się, rzekł słodko, pomówimy o tem!

Jakoż pomówiliśmy, i w końcu się stało,
Żem otrzymał, z rąk ojca, mą gołąbkę białą,
We wtorek, ślub wiecznemi złączył nas ogniwy,
Miluchna moja żona, to klejnot prawdziwy.
Mój teść twardy z pozoru, żelazna to sztuka,
Ale w rodzie tym cnoty szły z dziada na wnuka,
Do wymagań światowych nie nagnie się wcale,
Zato, budować na nim możesz jak na skale,
Ciężkie on przetrwał próby, lecz umiał od sromu
Uchronić dla przyszłości, węgły swego domu.

Z takiego ja-to gniazda wziąłem klejnot drogi,
I któż mnie zaprowadził w te poczciwe progi?
Ty biedny kapeluszu... ty proste narzędzie
Owej ręki opatrznej, co zawsze i wszędzie
Czuwa nad losem ludzkim, dźwiga co upadło,
Tyś, milczący mój druhu, związał nasze stadło,
Tyś mi dał poznać szczęście, zgodził mnie ze [światem, —
Dzięki ci kapeluszu, tyś był moim swatem!

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

XXXIX.

Wdowa.

Gdy Helena powróciła, Benedykt spostrzegł od pierwszego spojrzenia jaki gwałt zadawała sobie. Była nadzwyczaj blada, oczy miała zaczerwienione ale nie płakała. Głos jej był spokojny, słodki uśmiech nie dozwalał przypuszczać okropnego wydarzenia, które cały dom pokryło żałobą.

Jak tylko wróciła, Benedykt skinieniem pożegnał Karola, ścisnął rękę Heleny i wyszedł.

Idąc przez korytarz namyślał się co zrobić pierwej: czy iść do jenerała Sturma, czy zawiadomić Emmę o ostatniej woli męża objawionej w testamencie. Nareszcie pomyślawszy że nic nie może wpływać skuteczniej na niejakie ukojenie wielkiej boleści jak oddanie się spełnieniu wielkiego obowiązku, udał się do pokoju Fryderyka.

Stanąwszy w progu spojrzał w jego wnętrze.

Emma płacząc, z oczyma wzniesionemi w niebo, wsparła na piersiach głowę zmarłego męża; sędziwa pani von Beling stała z załamanemi rękami, zapatrzona w serce rozdzierający widok dwudziestoletniej córki, opłakującej stratę ukochanego, zaledwie trzydziestoletniego męża.

Stał chwilę nieruchomy i niemy, nareszcie rzekł wzruszonym głosem:

— Emmo, siostro moja, mąż twój umierający włożył na ciebie wielki obowiązek, który spełnisz niezwłocznie, gdyż świętą jest wola umierających.

Emma podniosła głowę, spoglądając na niego niepewnym wzrokiem.

— Co pan mówisz?... nie rozumiem...

— Zrozumiesz przeczytawszy to, odrzekł podając jej papier, na którym Fryderyk napisał ostatnią swoją wolę.

Wyrwała mu go z rąk.

— Ach! więc napisał coś... więc myślał o mnie!... zawołała.

Przeczytawszy, wyszeptała.

— O! tak... tak... męczeniku poczucia honoru, spełnię żądanie twoje... Byłeś dobrym za życia, dopomogę ci być wielkim po śmierci... Matko droga, każ przygotować żałobne szaty, jadę do Berlina!

Pani von Beling pokiwała smutnie głową — sądziła, że córka dostała pomieszania zmysłów.

— Oh! ten nędzny Sturm! zawołała Emma; biedny mój Fryderyk nieraz pisał do mnie w listach swoich, że człowiek ten będzie przyczyną jego nieszczęścia!

Poczem zwracając się do Benedykta, dodała podając mu rękę:

— Kochany panie Benedykcie, mąż mój tobie polecił, abyś go pomścił, a więc pod tym względem jestem spokojna, zemstę swą w dobre złożył ręce.

Widząc że matka spogląda na nią z zadziwieniem rzekła,

— Tak, matko ukochana, jadę do Berlina. Wolą jest męża mego, abym, zanim krew przestanie płynąć z jego rany, zanim ciało spocznie w mogile, abym we wdowie odziana szaty, udała się do królowej Augusty z prośbą o litość nad nieszczęsnem naszem miastem... uważał widać, że okupi je ofiarą siebie.

Potem pochyliwszy się ucałowała męża w czoło.

— Do widzenia, ukochany mój, czekaj na mnie na śmiertelnem łożu w którem spocząłeś zawcześnie; jadę spełnić twój rozkaz, i uzyskam czego pragniesz bo ty będziesz ze mną!... Matko moja, błagam o żałobne szaty!

Złożyła lekko głowę męża na stojącej obok kanapce, i wstawszy poszła ku drzwiom wolnym, automatycznym krokiem, jak istota której serce nie w jej własnej ale w innego bije piersi; matka udała się za nią; Benedykt sam pozostał przy zmarłym.

Miał słuszność. Boleść Emmy była wielką, ale myśl o spełnieniu świętego obowiązku dodawała jej sił do jej zniesienia.

Gdyby ostatnią wolą swoją Fryderyk nie przekazał jej spełnienia tak wzniosłego posłannictwa, nie pomyślałaby nawet o walce z rozpaczą. Nie opuszczając zwłok męża płakałaby bez ustanku; teraz przeciwnie całą jej istotę ogarnęło jakieś stężenie z którego sama sprawy zdać sobie nie mogła. Łzy jej płynęły ciągle, ale zamiast dobrowolnie tonąć w boleści, zdawałaby się nie wiedzieć, że płacze.

W garderobie jej znajdowały się jeszcze suknie od żałoby po matce; czytelnicy pamiętają zapewnie że czekała jej końca, aby zaślubić Fryderyka; przywdziała je po roku małżeństwa, aby już nigdy z niemi się nie rozstać.

Ubierając się z gorączkowem uniesieniem wydawała polecenia, które pewnieby z ust jej nie wyszły, gdyby nie miała opuścić Frankfurtu. Prosiła matki, aby Fryderyk, ubrany w paradny mundur, złożony był na wspaniałym katafalku, aby wszyscy znajomi i przyjaciele mogli go odwiedzać. Obliczyła że podróż do Berlina zajmie całą noc; jeden dzień zejdzie zanim przedstawi się królowej, dwanaście godzin potrwa powrót do Frankfurtu. Tak więc nieobecność jej potrwa 48 godzin, po upływie których z tak gorączkowym pośpiechem powróci do martwych zwłok, jak gdyby żywy mąż czekał na nią. Za powrotem opowie zmarłemu jak i co zrobiła; o powodzeniu nie powątpiewała, wiedząc że duch męża czuwać będzie nad nią. Tak więc ukochany cień będzie zadowolniony, a martwe zwłoki spokojnie legną w grobie.

Prosiła matki i wszystkich w domu, aby jej opowiedziano szczegółowo co się dzieje w Frankfurcie, wszystko co wycierpiało nieszczęśliwe miasto, zdzierstwa jakich było ofiarą, kontrybucye nałożone i wydarte, tak w pieniądzach jak w naturze. Kazała opowiedzieć sobie szczegóły śmierci Fischera; odnoszących się do śmierci męża nie zapomni; o nędzniku będącego jej sprawcą nie wspominała — wiedząc że Fryderyk zemstę swoją przekazał Benedyktowi, była pewną że Sturm jej nie ujdzie.

Ubrała się śpiesznie spoglądając na zegar; zapytywała kilkakrotnie o której odchodzi kolej. Zdawało się, że posłannictwo poruczone przez anioła śmierci, było jej z niebios poleconem.

W żałobne przybrana szaty, udała się do pokoju w którym Fryderyk oczekiwał na nią — choć już nie żył, łączył ich zawsze niewidzialny węzeł.

Fryderyk zdawał się pytać jej:

— Czy gotowa jesteś spełnić ostatnią wolę moją? czy jedziesz?

Ona odpowiadała myślą:

— Patrz, przywdziałam wdowie szaty i wyjeżdżam.

Zastała Benedykta czuwającego przy zwłokach Fryderyka; zdumiony był siłą jej woli i mocą charakteru — patrząc na nią, pojmował starożytne Lukrecye i Kornelje.

Pewny jej chód, zaciśnięte dłonie i brwi zmarszczone, dowodziły zwycięztwa woli, która pokonała nie boleść ale słabość. Cierpiała, ale nie upadła pod brzemieniem cierpienia.

Wziąwszy nożyczki leżące na biórku męża, ucięła promień jego włosów, i zamknąwszy je w medaljonie, położyła na sercu. Ponowiwszy Benedyktowi zalecenia uczynione matce, sama przypomniała, że czas na kolej, i rzekła do niego.

— Bracie, zamiast jego, mnie odprowadzisz na kolej — tak Bóg chciał... ręka Jego dotyka niekiedy bardzo ciężko, ale zawsze jest świętą... jedźmy!

Podał jej rękę; na schodach spotkała babkę, która wspomniała jej o dziecku. Emma poszła do pokoju i ze łzami uściskała sierotę. Pani von Beling zapytała jeszcze czy nie pójdzie pożegnać siostry.

— Po cóż mam przyczyniać jej boleści, dość już łez wylała.

I poszła ku schodom.

Doszedłszy do drzwi prowadzących do mieszkania Sturma, zatrzymała się chwilę; oczy jej przybrały ponury wyraz, pierś podniosła się, zęby zacisnęły; nie mówiąc i słowa, groźnym ruchem wskazała Benedyktowi drzwi, a raczej tego co przebywał za niemi.

— Bądź pani spokojna, rzekł, przysiągłem to sobie.

Powóz Lenhardta czekał przed domem, wsiedli i powiózł ich na kolej berlińską.

Pani von Below zaniepokoiła się chwilę, że ma bez paszpartu przejechać Hessyą, Turingią i Prusy — uspokoiła się jednak myślą, że żałobne szaty i posłannictwo jakie spełnić miała, powinny usunąć wszelkie przeszkody.

Na zapytanie o której godzinie przyjedzie, odpowiedziano że o dziewiątej rano.

Była pewną, że niebawem uzyska posłuchanie u królowej, ponieważ znała szambelana dworu i przychodziła w imieniu męża, osobiście znanego królowi. Pożegnawszy Benedykta jak brata, rzekła tylko: wszak go nie opuścisz?

Powracając z kolei, Benedykt zapukał do drzwi Sturma — nie było go w domu. Poprosiwszy aby mu dano znać jak tylko wróci, udał się do pokoju Fryderyka. Zastał tam panią von Beling; staruszka modliła się klęcząc przy zwłokach.

Zbliżył się do niej i z uszanowaniem pocałował w rękę.

— Pani baronowo, rzekł, zdaje mi się, że powinniśmy we wszystkiem zastosować się do życzeń córki pani. Pragnie ona, aby wszyscy przyjaciele mogli zobaczyć i pożegnać go po raz ostatni. Rzućmy więc płaszcz jego wojskowy na pierwsze lepsze łóżko, połóżmy go na niem, przypiąwszy do piersi jego wszystkie ordery, otwórzmy na rozcież drzwi jego pokoju — a uczynimy zadość woli wdowy. Ja postaram się rozesłać zaproszenia, a gdy śmiertelne łoże będzie gotowe, sam złożę na niem zwłoki przyjaciela.

Baronowa powstała, aby spełnić polecenie Benedykta i przysłać Hansa, który był mu potrzebny.

Przyszedł niezwłocznie. Wtedy Benedykt obej-

rzał ranę, prawie niewidoczną; kula weszła w skroń, przebiła czaszkę, ale nie wyszła drugą stroną. Śmierć była natychmiastowa; krwi popłynęło mało. Obmywszy ranę gąbką, zaczesali tak włosy że ją zupełnie przysłoniły — gdyby nie śmiertelna bladość pokrywająca twarz zmarłego, możnaby myśléć, że zasnął tylko.

Benedykt i Hans znieśli zwłoki Fryderyka do pokoju na pierwszem piętrze i tam złożyli je na łożu pokrytem płaszczem wojskowym. Następnie Benedykt prosił baronowej aby kazała mary te obstawić świecami jarzącemi, mającemi palić się przy zmarłym, a sam wyszedł napisać kilkanaście następujących biletów:

„Baron Fryderyk von Below, znieważony przez jenerała Sturma, który odmówił mu zadośćuczynienia, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. Zwłoki jego wystawione są na pierwszem piętrze w domu de Chandroz. Zaprasza się przyjaciół aby przyszli zobaczyć go po raz ostatni.

Wykonawca testamentu
Benedykt Turpin

P. S. Uprasza się o jak najśpieszniejsze rozgłoszenie wiadomości o tej jego śmierci."

Skończywszy, kazał Hansowi podyktować sobie nazwiska osób najbliżej żyjących z Fryderykiem i najczęściej bywających u niego, zaadresował zaproszenia i rozesłał. Niedługo potem dano mu znać że jenerał Sturm powrócił do domu, poszedł zaraz i kazał się zameldować.

Sturm nie znał go i nie słyszał nigdy jego nazwiska, kazał jednak poprosić do swego gabinetu w którym było obecnych kilku młodszych oficerów, tych właśnie którzy byli świadkami końca kłótni jenerała z baronem von Below.

Jenerał nie wiedział dotąd nic o następstwach jakie pociągnęło jego grubiaństwo, gdyż wyszedł z domu zaraz po odejściu Fryderyka; na twarzy jego widniały jeszcze ślady wściekłego gniewu.

Wszedłszy do gabinetu Benedykt zbliżył się do Sturma i rzekł uprzejmie.

— Może nie wie pan jeszcze, że w następstwie sprzeczki i zniewagi jaką wyrządziłeś przyjacielowi memu baronowi Fryderykowi von Below, któremu nadto odmówiłeś zadośćuczynienia jakiego wymagać miał prawo... tenże wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie.

Sturm poruszył się. Oficerowie spojrzeli po sobie.

Baron von Below w kilku słowach wyraził na tym papierze ostatnią wolę swoją; przychodzę, aby panu ją przeczytać.

Jakkolwiek nieczuły i bez serca, Sturm zdjęty został nerwowym dreszczem usłyszawszy te słowa; postąpił krok i rzucił się na fotel.

Benedykt wyjął papier z kieszeni, i zaczął czytać pewnym i spokojnym głosem:

„Uderzony w twarz przez jenerała Sturma, który odmówił mi zadośćuczynienia, nie mogę żyć shańbiony..."

— Wszak słyszysz pan? zapytał Benedykt.

Jenerał potwierdzająco skinął głową: młodzi oficerowie zbliżyli się ku sobie.

„Ostatniem mojem życzeniem jest, aby ukochana żona moja, w żałobne odziana szaty, zaraz dziś wieczór pojechała do Berlina, do królowej, i uprosiła u j. k. mości zwolnienie od kontrybucyi 25 milionów florenów, których ręczę honorem, miasto nie jest w stanie zapłacić. Niech ta myśl, że przyczyni się do ocalenia rodzinnego miasta, będzie jej pociechą w strasznej boleści jaką jej śmierć moja sprawi."

— A teraz mam zaszczyt uprzedzić pana rzekł Benedykt, że spełniając wolę jej męża, odprowadziłem baronawę von Below na kolej berlińską.

Sturm powstał.

— Proszę, zaczekaj pan, rzekł Benedykt, mam jeszcze dwa wiersze przeczytać mu, a przekonasz się pan że dość ważne.

„Pomszczenie mej śmierci przekazuję Benedyktowi."

— Panie, co to ma znaczyć? zapytał jenerał.

Młodsi oficerowie ani ust nie otworzyli.

— Ma znaczyć, odrzekł kłaniając się Benedykt, iż jak tylko spełnię obowiązki jakie wkłada na mnie cześć i współczucie dla nieszczęśliwej rodziny zmarłego mego przyjaciela, przyjdę prosić pana, abyś wybrał broń i oznaczył godzinę pojedynku, abym zabijając go spełnił ostatnią wolę Fryderyka.

Poczem skłoniwszy się najpierw jenerałowi a następnie młodym oficerom, wyszedł tak swobodnie, jakby opuszczał salon dobrych przyjaciół, zanim zdołali ochłonąć z zadziwienia.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT III.

(Dalszy ciąg.)

Scena piąta.

KSIĘŻNA, PANI de CÉRAN (schowane), JOANNA i PAWEŁ (wychodzą ze śmiechem ze swej kryjówki).

Paweł. Ha, ha, ha! Miłość platoniczna!

Księżna (na str.). Podprefekt!

Joanna. A to moje *ja i procesus i terminus*, ha, ha, ha!

Księżna (wychodząc ze swej kryjówki). A hultaje!... zaczekajcie-no! (Podchodzi pocichu ku nim.)

Paweł. Ha, ha! Miły świętoszek ze swemi oświadczynami o dwóch rozwiązaniach i dwóch sprężynach. (Naśladując Bellaca.) „Ależ droga Miss, tło miłości jest podwójne".

Joanna (naśladując Łucyę). „Ależ... czynnik główny!..."

Paweł. Zastanówmy, się Łucyo!

Joanna. Zastanówmy, się mój profesorze!

Paweł. Jestto odcień. Pozwól, że ci ukażę ten odcień.

Joanna. Ależ w takim razie jest ono identyczne...

Paweł. Identyczne! Okrutna!... Pomyśl że tu wszystko jest subjektywne.

Joanna. Panie Bellac, subjektywne! (Odłos całusów, które księżna naśladuje ręką.)

Paweł i *Joanna* (przestraszeni zrywają się). Coto?

Joanna. Ktoś!

Paweł. W pułapce!

Joanna. Podsłuchiwano nas.

Paweł (biorąc ją za rękę). Uciekajmy.

Joanna (odchodząc). Ah, Pawełku, może już słyszano nas z samego początku...

Paweł. Naprawię ja to, drogi aniele, naprawię! (Znikają na lewo.)

Scena szósta.

KSIĘŻNA, PANI de CÉRAN.

Księżna. Ha, ha! jacy oni zabawni, choć zasługiwali na lekcyjkę... Ha, ha, ha!... Nareszcie mogę się śmiać... Ha, ha! słuchajno... Łucya, ta twoja synowa pędzi ostro naprzód... A mówiłam ci... i cóż teraz?... Zuzanna?... ten list, ta schadzka?

Pani de Céran. Zuzanna znalazła widocznie list Bellaca do Łucyi.

Księżna. Który ona wzięła za list Rogiera do Łucyi. I dlatego była tak wściekłą z zazdrości!

Pani de Céran. Z zazdrości? Księżno, nie możesz przecie sądzić, iżby kochała mego syna?

Księżna. Może ty jeszcze myślisz ożenić go z kim innym?... Dobrze wreszcie, ale *processus?*

Pani de Céran. Z tamtą?... nie... ale z Zuzanną, nigdy, moja ciotko.

Księżna. Jeszcze nie mamy potrzeby mówić o tem ostatecznie... czego bardzo żałuję... tymczasem jednak idź odszukać swoją tragedyą i kandydaturę po Rewelu.. Ja biorę na siebie uspokojenie twojego chłopaka i poskromnienie jego zapędów krwiożerczych, wszystko dobrze co się kończy dobrze, — uf! jakżem się zmęczyła, lubo jestem już spokojna. Wiele hałasu o nic... Lecz już skończone, zupełnie skończone!... odejdźmy! (Idą na lewo, drzwi skrzypią, obie.) Coto?

Księżna. Jeszcze!... Wiesz co, że ta twoja cieplarnia... przypomina kasztany Figara. Bardzo sprytnie urządzona!

Pani de Céran. Lecz któżto może być jeszcze?

Księżna. Kto? (Nagle). Ah! (Do pani de Céran popychając ją na lewo.) Wejdź do salonu a ja ci opowiem.

Pani de Céran. Jednakże...

Księżna. Nie możesz przecie tak ciągle zostawiać gości samych...

Pani de Céran (usiłując zobaczyć kto wchodzi). Rzeczywiście, lecz kto to może być?...

Księżna (popychając ją). Wszak ci opowiem. Idź, idź prędko, zanim tu nadejdą... Nie mogłabyś już...

Pani de Céran. Prawda, zresztą powrócę po herbacie.

Księżna. Tak, tak po herbacie... Idźżeż już idźże.

(Pani de Céran wychodzi na lewą stronę.)

Scena siódma.

KSIĘŻNA, potem ZUZANNA, potem ROGER.

Księżna. Kto to może być? Albo Roger, który śledzi Zuzannę, albo Zuzanna, która śledzi Rogera. (Patrząc na prawo.) Tak, tak, to on istotnie. To mój Bartolo... (Patrząc na lewo.) A teraz moja mała zazdrośnica, która myśli, że Roger jest razem z Łucyą, i która radaby sobie trochę popatrzyć, co oni też robią. Tak, niezawodnie. Trzecia migrena! Na nią liczyłam... No, no, jeżeli teraz los nie dopomoże, to byłby bardzo niezgrabny... (Zaciemniając trochę gaz.) Pomóżmy mu trochę!...

Zuzanna (wchodząc kryje się). Wiedziałam ja dobrze, że on obszedłszy naokoło cieplarnię, przyj-

dzie tu nareszcie. Ja stałam mu na przeszkodzie.

Roger (wchodząc kryje się). Obeszła naokoło cieplarnię a teraz jest tu. Widziałem jak tu weszła, muszę przeto raz rzecz wyświecić i wiedzieć czego się trzymać.

Księżna. Bawią się w ciuciubabkę.

Zuzanna (naśladując). Zdaje się, że ta Angielka spóźnia się trochę.

Roger (tak samo). Cóżto? pana Bellac jeszcze nie ma?

Księżna. Oni nigdy nie skończą.. Chyba, że ja się wmieszam do tego... Pst, pst!

Roger. Ona go woła... Gdybym tak się ośmielił i zajął jego miejsce, skoro jego nie ma. Byłby to wyborny sposób dowiedzenia się, jak są ze sobą.

Księżna (na str.). Dalejże... dalej... pst, pst!

Roger. Na honor, niechby to trwało i chwilkę tylko... skoro nie przychodzi, zawsze się przez ten czas czegoś dowiem... Pst! pst!

Księżna. Ot i dobrze!

Zuzanna (na str.). Bierze mnie za Łucyą. Och jakżebym chciała wiedzieć co on jej powie.

Roger (półgłosem). To ty?

Zuzanna (półgłosem). Ja, (na stronie rezolutnie) tem gorzej.

Roger (na str.). Bierze mnie za Bellaca.

Księżna. No, teraz dobrze... Dalejże moje dzieci! (Znika za drzewami w głębi na lewo.)

Roger! Odebrałaś pani mój list?

Zuzanna (na stronie, wściekła, mówi do niego zwróconą twarzą, czego ten ani widzi ani słyszy). Tak, odebrałam pański list... tak, odebrałam go, czego ty ani przypuszczasz. (Głośno, łagodnie.) Gdybym go nie była odebrała, czyżbym była tu na tej schadzce?

Roger (na str.). Na tej schadzce! teraz dosyć jasne, nieszczęśliwa! lecz zobaczymy co dalej. (Głośno.) Tak się lękałem, że pani nie przyjedziesz... moja droga.

Zuzanna (na str.). Moja droga! O! (głośno) jednakże widziałeś mnie pan gdym dopiero wychodziła z salonu... mój drogi.

Roger (na str.). No przynajmniej są ze sobą poufale... nie ma co mówić... muszę się koniecznie dowiedzieć. (Głośno.) Dlaczegoż pani stoisz tak daleko ode mnie? (Postępując ku niej.)

Zuzanna (na str.). Zmiarkuje żem za mała jak na Łucyę. (Siada.) W ten sposób będzie dobrze.

Roger. Nie pozwoliszże ażebym usiadł przy tobie?

Zuzanna. I owszem.

Roger (na str. idąc ku niej). „I owszem". Patrzcież! Co mnie tylko dziwi, że mnie bierze za Bellaca, choć nie mam ani jego głosu, ani... Nakoniec niech sobie to trwa i najdłużej, korzystajmy z tego. (Siada przy niej, głośno.) Jakżeś pani dobra żeś przyszła... Więc mnie pani kochasz trochę moja droga?

Zuzanna. Ehę... mój drogi.

Roger (zrywając się, na str.). Ona go kocha! Ha! nędzniku!

Zuzanna. Co mu się stało?

Roger (powraca i siada przy niej). Kiedy tak, to pozwól-że mi być ze sobą tak jak i dawniej zawsze. (Bierze jej ręce.)

Zuzanna (na str. oburzona). Bierze ją za rękę.

Roger (na str. oburzony). Pozwala się z całą swobodą brać za ręce... Straszne!

Zuzanna. Okropne!

Roger (głośno). Pani drżysz?

Zuzanna. Bo... to pan drżysz...

Roger. Nie... to pani... Czyżby?... (Na str.) Zaraz się przekonamy, tem gorzej... (Głośno.) Boisz się?

Zuzanna (na str., wściekła zrywając się). Ty?!

Roger (na str., oddychając). No, jeszcze nie tak źle. (Zuzanna powraca, zrobiwszy gest rezolutny i siada przy nim nie mówiąc ani słowa.)

Roger (przestraszony, na str.). Co?... Czyżby zaszło tak daleko?... Ależ w takim razie... (Głośno.) Więc się nie boisz?

Zuzanna. Bać się?... Z tobą razem?

Roger (na str.). Z to... Więc ten nędznik uwiódł ją do tego stopnia? Ale ja się dowiem... muszę wiedzieć... Chcę tego, powinienem... mam opiekę nad jej duszą... (Głośno i stanowczo.) Zatem... jeśli się mnie nie boisz, dlaczegoż uciekasz ode mnie? (Przyciąga ją ku sobie.)

Zuzanna (oburzona). Oh!

Roger. Dlaczego się odwracasz ode mnie? (Obejmując ją wpół.)

Zuzanna. Ah!

Roger. Dlaczego zakrywasz przede mną twarz? (Schyla się nad nią.)

Zuzanna (zrywając się). Tego już zanadto!

Roger. Tak, tego już zanadto!

Zuzanna. Popatrz-że pan na mnie! ja jestem Zuzanną, nie Łucyą, Zuzanną, rozumiesz pan?

Roger. A ja Rogerem, nie panem Bellac, Rogerem, rozumiesz pani?

Zuzanna. Panem Bellac?

Roger. Oh! nieszczęśliwa dziewczyno! więc to było prawdą? Ah, Zuzanno, Zuzanno — jakąż mi sprawiasz boleść!... Lecz on tu przyjdzie a ja na niego poczekam.

Zuzanna. Kto przyjdzie?

Roger. Czyż jeszcze nie rozumiesz, że ja list czytałem.

Zuzanna. List?... To ja czytałam list, ten pański list.

Roger. Mój list? List od pana Bellac!

Zuzanna. Od pana Bellac?... Od pana!

Roger. Ode mnie?

Zuzanna. Od pana do Łucyi!

Roger. Do Łucyi?... Do ciebie, do ciebie!

Zuzanna. Do Łucyi... do Łucyi, która go zgubiła.

Roger (osłupiały). Zgubiła?

Zuzanna. Byłam przy tem jak kazała go szukać służącemu! I pan nie powiesz... a ja go znalazłam, ja!

Roger (zrozumiawszy). Znalazła!

Zuzanna. Tak jest, znalazłam... I ta schadzka... Ta migrena i to wszystko!... Wiedziałam o wszystkiem... I dlatego chciałam widzieć i dlatego tu przyszłam... Pan zaś wziąłeś mnie za Łucyą...

Roger. Ja?

Zuzanna (na wpół z płaczem). Tak, pan! pan mówił!... Pan mnie wziąłeś za nią i mówiłeś jej że ją kochasz... Tak, tak... Więc jeżeli tak, dlaczegoś mi pan zaręczał, że jej wcale nie kochasz?... Tak... mnie... Dopiero mówiłeś, że się z nią nie ożenisz... Dlaczegoś to mówił? nietrzeba mi było tego mówić. Ożeń się pan jeżeli ci się podoba, mnie to wszystko jedno, ale nie trzeba mi było mówić.. Pan mnie zawiodłeś... skłamałeś! to nie jest dobrze. Skoro ją kochałeś, nie trzeba było... potrzeba było. (Wybuchając łkaniem.) Nie, nie żeń się z nią, nie żeń, nie żeń się!...

Roger (cisnąc ją w swych objęciach). Moja droga, droga Zuziu, jakże się czuję szczęśliwy!

Zuzanna. Co takiego?

Roger. Więc ten list tyś znalazła? Nie do ciebie był pisany?

Zuzanna. Do mnie?

Roger. Więc i nie do mnie... Na to ci przysięgam!

Zuzanna. Przecież...

Roger. Przysięgam ci! List ten był do Łucyi... od Bellaca... do innych... Co nas to obchodzi! Ha! teraz rozumiem... ty sądziłaś... tak, tak, zupełnie jak ja... Rozumiem... Drogie, drogie moje dziecię... jakżem się lękał! Boże, jakżem się lękał!

Zuzanna. Ależ czego?

Roger. Czego? prawda!... to było niedorzecznością... nie... nie... nie zastanawiaj się, to było ohydne... Przebacz mi, czy słyszysz? przebacz mi!

Zuzanna. Więc się z nią nie ożenisz?

Roger. Kiedy ci mówię...

Zuzanna. Ja tam tego wszystkiego nie rozumiem... powiedz mi tylko czy się z nią nie ożenisz, a uwierzę ci..

Roger. Ani myślę... Nigdy! Jakież z ciebie dziecko! no, no, nie płacz już... Otrzyj twoje oczęta, moja maleńka, moja Zuzieczko... Wszak się już nie gniewamy, nie płacz-że moje dziecię!

Zuzanna. Nie mogę niepłakać.

Roger. Ale dlaczego?

Zuzanna. Bo ja mam tylko ciebie jednego, Rogerze... Nie chcę ażebyś mnie porzucił.

Roger. Ciebie porzucić?

Zuzanna (ciągle z płaczem). Jestem zazdrosna, ty wiesz o tem... Ty tego nie rozumiesz, ty nie... o! nie!... Ja to dobrze widziałam dziś wieczór, kiedym chciała doprowadzić cię do zazdrości o Bellaca... tyś się nawet na mnie nie spojrzał. Ciebie nic nie obchodzi ten pan Bellac.

Roger. Bellac! Ależ ja go chciałem zabić!

Zuzanna. Zabić go! (Skacze mu na szyję.) Jakiś ty dobry, jaki miły. Zatem przypuszczałeś?...

Roger. Nie mówmy już o tem... to skończone zapomniane i między nami nic nie zaszło... Zacznijmy na nowo! Więc tak jak gdybym dopiero co przybył: dzieńdobry, Zuzanno! moja droga! — Jakżeśmy się już dawno nie widzieli... Zbliż się tu... tu do mnie... tak jak przed chwilą. (Siada i sadza ją obok siebie.)

Zuzanna. Mój Rogerze, jaki ty teraz jesteś dobry. Jak ty mi ładnie mówisz to wszystko... chyba że mnie więcej kochasz od niej? — Prawdę szczerą powiedz?

Roger (coraz się ożywiając). Kochać ciebie? Ależ to mój obowiązek... Jako krewnego, opiekuna... Mój obowiązek uczciwego człowieka nareszcie! Kochać ciebie? Wiesz, że gdym czytał ten list... nie wiem co się stało ze mną... wtedy dopiero zrozumiałem jak cię kocham bardzo... O tak! kocham cię drogie, niewinne i czyste jak anioł dziecię, — kocham więcej aniżeli sam myślałem i teraz chcę ażebyś o tem wiedziała... prawda że wiesz o tem? Prawda że czujesz iż cię kocham bardzo... droga moja Zuziu!

Zuzanna (cokolwiek zdziwiona). Tak... Rogerze...

Roger. Patrzysz się na mnie... Ja cię zadziwiam... nie przekonywam... Ja tak nie nawykłem do wyrażeń czułych, tak jestem niezgrabny w pieszczotach... Nie umiem tego wszystkiego wypowiedzieć... Wychowania serca dopełniają matki, a wszak znasz moją!... Zrobiła ze mnie móla uczonego, nauka zapełniła całe moje życie... Tyś mi była jedynem odetchnieniem, jedynym uśmiechem, jedyną moją młodością!... Powiadasz, że masz mnie tylko!... I ja droga mała, kogoż miałem kochać jeżeli nie ciebie jedną? A przecież ja nie wiedziałem o tem... wzięłaś mnie z duszą i ciałem, tak jak dzieci biorą same nie wiedząc co czynią;—

przez potęgę wylania uczuć, przez przemoc swego wdzięku, czar swej słabości, przez wszystko co razem wzięte, sprawia, że kochamy, ponieważ oddajemy się zupełnie i poddajemy tej, nad którą przyjęliśmy opiekę. Byłem twoim nauczyciem, ale i twoim uczniem. Podczas gdym świat myśli roztwierał przed twoim umysłem, ty otwierałaś swą duszę przed mojem uczuciem... Ja ciebie uczyłem czytać, ty mnie kochać. Na tych-to paluszkach różowych, na złocistym jedwabiu twoich włosków dziecięcych, serce moje nieświadome, doznawało pewnych drgnień... Tyś weszła malutką jeszcze w to serce, gdzieś urosła i panujesz teraz wszechwładnie... czy pojmujesz? wszechwładnie. (Milczenie.) Jest-żeś teraz spokojną?

Zuzanna (wzruszona powstaje i mówi cichym głosem). Chodźmy ztąd!

Roger (zdziwiony). Dlaczego? Dokąd?

Zuzanna (bardzo wzruszona). Gdzieindziej...

Roger. A dlaczego?

Zuzanna (bardzo wzruszona). Ściemnia się.

Roger. Lecz przecie przed chwilą...

Zuzanna. Ah! przed chwilą!... nie wiedziałam...

Roger. Nie — pozostań... Gdzieżby nam było lepiej jak tutaj?... Mam ci jeszcze tyle do powiedzenia... Serce moje tak przepełnione... Nie wiem dlaczego ci to wszystko mówię, to prawda, ale to tak dobrze wynurzyć się... Zuzanno, pozostań jeszcze... Droga Zuziu. (Zatrzymuje ją.)

Zuzanna (chcąc się wydostać). Nie, nie... Proszę pana.

Roger. Pana?... Już mi nie mówisz: ty?

Zuzanna (coraz bardziej zmieszana). Proszę... proszę pana bardzo...

Roger. Lecz przecież dopiero co...

Zuzanna. Tak, ale teraz już nie...

Roger. Dlaczego?

Zuzanna. Nie wiem... Ja...

Roger. Jeszcze!... Płaczesz!... Zasmuciłem cię?

Zuzanna. O nie! nie!

Roger. Lub może cię obraziłem niechcący...

Zuzanna. Nie, nie... Ja nie wiem... ja nie wiem... jestem... chodźmy ztąd, proszę bardzo!

Roger. Zuzanno... Ale dalibóg i ja już nie rozumiem... nieodgaduję...

(*D. n.*)

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Po świetnym okresie naszej literatury i poezyi, nastały czasy królowania pendzla i dłuta;—długi szereg mistrzów pierwszorzędnej siły tak w kolorycie jako też twórczości prześwieca nam dzisiaj, a liczba wystaw wzrasta niemal z każdą chwilą pod względem bogactwa gromadzonego po salonach artystycznych.

Pan Aleksander Krywult założył w b. r. salon tylko „malarzy i rzeźbiarzy polskich" i zaiste jest na co spojrzéć, jest czem odświeżyć fantazyą, jest nad czem podumać, pomarzyć i wznieść się w krainy ideału i minionej przeszłości...

Oto obraz mistrza *Jana Matejki* przedstawiający *Zerwanie układów pokojowych pomiędzy Łokietkiem a mistrzem krzyżackim*. Dzielny i bohaterski król, owo niegdyś „łokciowe książątko", po szałach i burzach młodości, wypędził Przemyślitów, zjednoczył dzielnice oderwane i objął w posiadanie Pomorze, lecz zdradny krzyżak, knuł piekielne plany: sam ofiarował pomoc i przyjaźń przeciw Brandeburczykom, ale w chwili gdy wojsko krzyżackie weszło na polską ziemię, wnet krzyżak zrzucił maskę, ogniem i mieczem tępił załogi polskie, niszczył wsie i miasta. Naprożno Łokietek udaje się do papieża, naprożno wzywa sądu! Wtem sami krżyżacy przysyłają posłów i proponują ugodę: odstąpienie całego Pomorza za 10,000 grzywien mających się wypłacić królowi.

Mógłże król-rycerz przyjąć podobne warunki? Czyż miał na pastwę krzyżakom zostawić polską dzielnicę? Zawrzała też w Łokietku gorąca krew, zbudził się lew północy, każdy muskuł, każda fibra drga w królu, konwulsyjnie ścisnął wierny miecz, bo na jego ostrzu musi rozstrzygnąć się cała sprawa. Dziwny majestat monarchy, wodza, oburzonego podłością krzyżaków, szlachetnego człowieka, bije z postaci Matejkowskiego Łokietka—patrząc nań, czujesz, że człowiek ten polegnie ale nie podda się!

Niemal kontrastem jest twarz rudobrodego mnicha-mistrza, o bo to mistrz nielada;—tak wybornie udała mu się sztuka fałszywej przyjaźni, tak pyszną ustawił pułapkę, to też uśmiecha się zadowolniony, i na groźby króla zapewne odpowiada „beatus qui tenet" (szczęśliwy, kto dzierży), mistrz nacechował tę twarz wstrętnem szyderstwem i bezczelnością, że nie znając wcale historyi, czujesz i widzisz, kto jest tu pokrzywdzonym a kto obrażonym w najświętszych uczuciach.

Obok tych dwóch postaci mamy jeszcze jednego krzyżaka zadowolnionego i potakującego wywodom mistrza i rycerza polskiego, którego oburzenie wybornie jest oddane.

Prócz epopei narodowej, którą mistrz krakowski umie zakląć w tony, barwy i rysy niezapomniane, dał nam Matejko drugi obrazek rodzajowo-historyczny z życia króla Olbrachta, p. t. *Nieszczęśliwe zaloty Olbrachta*.

Znakomity nasz historyk Długosz, był jak wiadomo nauczycielem syna Kazimierza Jagiellończyka, w dziejach też swoich zostawił nam liczne obrazy malujące życie królewiczów. Pomiędzy innemi opowiada, że królewicz Olbracht był młodzieńcem pełnym życia i sił, który rad widział piękną niewiastę, a zwyczajem owych czasów wyprawiał swej donnie serenadę. Na jednej z takich nocnych wycieczek, w towarzystwie ulubionego Kallimacha, z książką w ręku puścił się nocną porą w starożytne uliczki Krakowa. Widać tu zmyślnie rzeźbione a rzezane ganki i okna miniaturowe, bo ku ozdobie służące balkony, wysunięte podsienia i starożytną studnię, — w takiej uliczce mieszkała wybrana królewicza lecz snać piękność jej nietylko uwagę Olbrachta, ale i innych gachów na siebie zwróciła, i tu-to pod jej oknem przychodzi do walki. Królewicz raniony w twarz, opiera się na Kallimachu, trzej rywale poznawszy godność królewicza, chronią się ucieczką w głąb' ulicy — a zbudzona piękność wybiegła boso, w negliżu nocnym, by poznać przyczynę szczęku broni a może, by zranionego w swej komnacie, w której płonie światło, opatrzéć a może i uśmiechem nagrodzić... któż odgadnie serce kobiety?

Tło obrazu, grupa rywalów i pierwszoplanowa grupa Olbrachta i Kallimacha jest znakomitą; nocne cienie zmodyfikowały jaskrawe barwy, a mały obrazek pozwolił Matejce zachować perspektywę, w której często chybia, gdyż mistrz cierpi na oczy i tylko zblizka widzi.

Natomiast owa donna, nie jest pięknością; jest to sobie pulchna blądynka, z szeroką nogą i kościstemi palcami — może i Olbracht gustował w takich — lecz co do nas, nie narażalibyśmy się na chłód, miecze i rany dla *takiej* piękności!

(*Dok. n.*)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Znany paszkwilista Sacher Masoch, który z bezprzykładną bezczelnością obrzucał nas błotem w nieudolnych elukubracyach, w pismach niemieckich drukowanych, powziął myśl wydawania dziennika p. t. *Auf der Höhe*, z zaproszeniem wszystkich najznakomitszych pisarzy całego świata do współpracownictwa. Do liczby ich i naszych przyłączając, rozesłał odpowiednie zaproszenia. Gazeta Warszawska rozprawiła się z nim jak należało, inne pisma to samo, p. Świętochowski, redaktor Nowin, zaprotestował przeciw umieszczeniu jego pseudonimu pomiędzy współpracownikami; mimo tego, zaproszenia Sacher Masocha sypią się w dalszym ciągu i w dniach tych doszło takowe i do naszej redakcyi.

Po odprawie danej przez pisma codzienne, kwestyą tę uznaliśmy za załatwioną, że jednak Sacher Masoch bezczelność posuwając do ostateczności, w ostatnim numerze angielskiego Athenaeum wydrukował zawiadomienie o swem zamierzonem wydawnictwie, w którem uporczywie utrzymuje, że *najznakomitsi pisarze polscy* przyrzekli mu współpracownictwo, zmuszeni zostaliśmy jeszcze raz sprawę tę poruszyć, abyśmy w razie danym mieli dowód, że już nietylko samo należenie do jego towarzystwa, ale nawet przypuszczenie że je moglibyśmy przyjąć, jest dla nas wstrętne i ubliżające.

Przy tej sposobności donosimy, że znany także paszkwilista Francos, drugi kubek w kubek Sacher Masoch, znalazł tłomacza angielskiego w osobie p. Macdonalla, dla ramoty swej p. t. Halbasien, w której całą naszą społeczność opisał jak dzicz, w pampasach amerykańskich koczującą. Sprawozdawca jednak Fourthnightli Review, stając w obronie naszej, za zły wybór przedmiotu zrobił ostry zarzut Macdonallowi. Pokazuje się, że prawdy nic stłumić nie zdoła, jak nie zniszczy życia rozlanego w naturze. Przysłowie nasze wybornie rzecz tę określa, powiadając: psie głosy nie idą w niebiosy.

+ *Dlaczego?* Pod takim nagłówkiem czytamy poczciwie napisany artykulik w N-rze 222 „Kuryera Warszawskiego" zwracamy uwagę społeczeństwa naszego i prassy: dlaczego skoro tak żywo zajmuje się losem ubogich uczni a szczególniej studentów uniwersytetu, dlaczego społeczeństwo nie pomyśli a prasa nie nawołuje do zapewnienia takiejże naukowej pomocy *dla ubogich uczenic* pobierających nauki tak w gimnazyach jak po pensyach prywatnych jako przychodnie? A przecież los i przyszłość biednych tych dziewczątek niemniej godne współczucia i opieki; bo jeźli wielkie ma znaczenie dla kraju naukowe wykształcenie przyszłych obywateli kraju, to niemniej doniosłem jest kształcenie serca i umysłu żon i matek przyszłego pokolenia. „Czyliż tym biednym dzieciom, często drżącym od zimna, wybladłym od bezsenności i długiego siedzenia w natłoczonych klasach, nie należy dopomódz z sercem ożywionem rodzicielską dla nich miłością? Zdaje nam się, że w tej chwili oblicza czytelniczek naszych, zwłaszcza zamożniejszych, rozjaśniają się uśmiechem

macierzyńskiej czułości, że szlachetne ich serca w tej chwili biją dla nas wdzięcznością za podanie im pięknej myśli, którą one niezwłocznie w piękniejszy jeszcze czyn zamienią. Jeszcze w tej chwili, choć rok szkolny już na dobre się rozpoczął, ileż to jest biednych dziewcząt, które nie opłaciły dotąd wpisu szkolnego; wielu innym znowu brak jeszcze książek niezbędnych do nauki, a wielu też pewnie biedni rodzice nie są w stanie sprawić mundurków i cieplejszych okryć na zbliżającą się zimę..."

Wezwanie to o pomoc dla biednych uczenic powinny powtórzyć wszystkie pisma nasze, bo ileżto dziś wielkich zdolności marnieje dla braku marnych kilkunastu rubli na opłatę wpisu! Nie ulega zaprzeczeniu że ogólnie biorąc, dziewczęta uczą się chętnie i pilnie, że rzadko która nie otrzymuje promocyi. Nie marnujmy więc sił narodowych, nie zapominajmy, że wscyscy wielcy ludzie matkom zawdzięczają swą wielkość i sławę. Corocznie urządzane są koncerta i składane liczne ofiary na niezamożnych uczni i studentów, czyżby społeczeństwo nasze nie stało już na nie i dla ubogich dziewcząt? Przekonani jesteśmy, że koncert czy poranek urządzony w tym celu, zapełniłby niezawodnie całą salę.

+ Z pomiędzy przemawiających na kongresie literackim w Wiedniu, odznaczyła się mowa Władysława Mickiewicza, syna nieśmiertelnej sławy wieszcza naszego, którą wypowiedział na posiedzeniu 23 z. m., a której przedmiotem były, *Przesądy w literaturze*. Na wniosek Ulbach'a mowa ta zamieszczona na najpierwszem miejscu w biuletynach Stowarzyszenia I. Horowitz, zdolny publicysta wiedeński, przełożył ją dla *Presse* wiedeńskiej, a p. Kazimierz Chłędowski dla *Gazety Lwowskiej*; podajemy z niej wyjątki, gdyż całość byłaby za obszerna dla naszego pisma.

„Usuwajmy przesądy, bo one stanowią największą przeszkodę braterstwa ludów. Stowarzyszeniu literackiemu, dążącemu do tego celu, ułatwia to zadanie zetknięcie się z sobą przedstawicieli piśmiennictwa różnych narodowości. Najpierwej starać się ono musi o usunięcie przesądów w literaturze, nadzwyczaj dziś rozpowszechnionych. Przedstawiając obce społeczeństwa, autorowie uciekają się najczęściej do jaskrawych barw, podają złośliwe, niezgodne z prawdą opisy i charakterystykę, a wzajemnie rzucane obelgi, zajątrzają międzynarodowe stosunki.

Świat często bardze jest niesprawiedliwy. I tak np. Europa zapomniała o bohaterstwie dawnych Greków, którzy tak wielkie dla wolności położyli zasługi i widzi w nich dziś tylko zniewieściałych fanaryotów i oszustów. Słowianie w imię tej samej wielkiej, szlachetnej idei walczyli ciągle bez wytchnienia, broniąc przytem swej narodowości, a Zachód nie chce pamiętać o tem. Mimo przecieć niczem nieuzasadnionych zarzutów i krzywd jakie od rzymskich czasów ludzkość wyrządzała Słowianom, serca ich nie tchną zawziętością przeciw Zachodowi, nie wygłaszają niesprawiedliwych o nim sądów; w piśmiennictwie ich nie napotykamy skarykaturzonych cudzoziemskich typów. Słowianie, a szczególniej Polacy, są sprawiedliwi, nie grzeszą zarozumieniem niektórych narodów, którym się zdaje iż nie może być dobrem co nie od nich pochodzi. Tłomaczymy wiele dzieł obcych, nie przez lenistwio ducha, ale z żądzy wiedzy popychającej nas ku narodom posiadającym jeżli nie starszą to większym rozwojem cieszącą się literaturę; nie obawiamy się uledz moralnej przewadze obcych mistrzów, bo czujemy się silni wielkością ducha narodowego.

Nie manifestujemy przeciw obcym pisarzom, chociaż wielu wygłaszało przeciw nam najniesprawiedliwsze sądy; przesądy przeciw obcym narodom są u nas nadzwyczaj rzadkie. Czemże są wreszcie przesądy takie jeźli nie zuchwałem wyrokowaniam o rzeczach zbyt mało lub wcale nieznanych, powtarzanem machinalnie? Pełne prostoty życie rolnicze broni od przesądów; wieśniak zapatrzony w przyrodę, nie jest zdolny do ich wytwarzania. Nie utrzymuję aby między rolnikami nie było przesądów, ale te jakie napotykać się zdarza, powstały wskutek usiłowań aby zachwiać w narodzie wiarę, a gdy ta znika, opróżnione po niej miejsce zajmuje przesąd, martwy szkielet dogmatów. Lud szanuje te pozostałości nie rozumiejąc ich, jak niegdyś w epokach gdy bałwochwalstwo chyliło się do upadku.

Ze wszelkich gałęzi piśmiennictwa — utwory sarkastyczne najmniej znalazły przedstawicieli między pisarzami słowiańskiemi. Najsarkastyczniejszy nasz poeta z XVIII stulecia ks. biskup Krasicki, zaleca szlachcicowi podróżować po obcych krajach, aby się tam czegoś pożytecznego nauczył. Szydzi z rzeczy powierzchownych, ale zaleca co jest rzeczywiście lepsze i pochwały godne. Romansopisarze współcześni własnym tylko zajmują się krajem, własne tylko wykazują błędy, a pragnąc je poprawić, obcych nieraz stawiają za przykład. Wybitną cechą naszego piśmiennictwa jest ośmieszanie nie cudzoziemców ale ich małpowanie... Przesądem naszym jest wiara w Zachód, wiara że ten Zachód, od którego przejęliśmy przesądy naukowe, przyniesie nam także postęp humanitarny; i ta wiara w Zachód przetrwała wszelkie rozczarowania nasze.

Zasady międzynarodowego Stowarzyszenia literackiego są nam dobrą wróżbą, gdyż czemże jest w rzeczywistości poszanowanie własności literackiej, jeźli nie poszanowaniem własności narodowej, a wolność myśli, możnością rozwoju każdej innej wolności. Miejmy nadzieję że wkrótce spełni się nad Dunajem na co patrzymy w Szwajcaryi, to jest urzeczywistnienie braterstwa różnorodnych szczepów, dokonywającego się przez wolność, zatarcie się wzajemnych przesądów a podniesienie najlepszych stron każdemu szczepowi właściwych.

Oby jaknajprędzej nadeszła chwila, w której wszystkie narody europejskie staną w tym do siebie stosunku jak dziś prowincye kraju jednej narodowości: dawniej dzieliły je przesądy, dziś ogniwa ich prysnęły, skruszyła je miłość ojczyzny.

Z kolei zniknąć muszą przesądy rozdzielające narody jednego kontynentu. Nasze międzynarodowe Stowarzyszenie literackie będzie się mogło słusznie chlubić tą wielką zasługą, że współdziałem swoim przyłożyło się do urzeczywistnienia tak wielkiego dzieła—zhliżenia się i braterstwa narodów!...

Głośne oklaski wynagrodziły mówcę.

+ W Krakowie szkoły dla kobiet obejmują wogóle dość szeroki program nauk; obecnie przy jednej 8-klasowej, miasto postanowiło utworzyć praktyczny kurs robót kobiecych i handlu, a to w celu uzupełnienia praktycznego wychowania kobiecego, aby w razie potrzeby uczenice opuszczające szkołę mogły pracą własną zapewnić sobie utrzymanie. W tym celu wysłano kosztem miasta do południowych Niemiec, a głównie do Królestwa Würtembergskiego, do Reutlingen, gdzie istnieje szkoła robót kobiecych, p. Gettlicha, dyrektora owego gimnazyum żeńskiego. Zakład ten, urządzony na wysoką skalę, posiada ogromne fundusze i ma rozrzucone po całych Niemczech sto kilkadziesiąt filii, z których jednakże żadna nie dorównywa głównej szkole, w której kształcą się uczenice z różnych krajów. Jest to szkoła a nie warsztat lub fabryka; każdego rodzaju pracy uczą w oddzielnym oddziale, a uczenice same wyrabiają wzory do swych wyrobów, pod kierunkiem uzdolnionych nauczycielek. Wszystko co mają robić, muszą pierwej narysować i odmalować, począwszy od koszulek dziecinnych, pończoszek i sukienek, do najkosztowniejszych strojów damskich.

Celem zakładu Reutlingeńskiego jest danie kobietom możności pracowania na swoje utrzymanie bez szukania znrobku za domem. Zakładem opiekuje się królowa wirtembergska, zasila go funduszami i często odwiedza. Aby dać pojęcie o zbytkownem niemal urządzeniu zakładu, dość powiedzieć iż obok wszystkiego co jest rzeczywiście potrzebnem, posiada w gmachu swoim własną salę teatralną ze sceną i dekoracyami, w której uczenice w chwilach wolnych od pracy zabawiają się teatrem, koncertami i t. p. rozrywkami.

Gdybyśmy się to podobnego zakładu doczekali kiedy w Warszawie!

+ W N-rze 221 „St.-P. Wied." znajduje się korespondencya z Warszawy. Autor jej opisuje pokrótce Łazienki i Saski ogród, które to miejscowości bardzo mu się podobały; zwraca uwagę na piękne panie i panny i porównywa ich sposób ubierania się ze strojem Rossyanek." Niech Polka, mówi, włoży na siebie najskromniejszą, najtańszą sukienkę, mimo to wyda się daleko piękniej ubraną niż bogato wystrojone córki kupców i urzędników w Rossyi. Pewien Rossyanin rzekł do mnie: „Daj Polce choćby tylko wstążkę, uszyje z niej sukienkę i przystroi się w nią tak ślicznie, tak do twarzy, jak nigdy nie potrafi ustroić się Rossyanka, choćby córka milionera". I nic to dziwnego, kończy autor korespondyncyi, gdyż Warszawianie mają za progiem Europę i oknem komunikować się z nią mogą.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 6 Октября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

IDA LATIMER.

Przez

RODĘ BROUGHTON.

Przekład

K. P.

(Dokończenie.)

Chociaż się nie wypogodziło, miss Tarlton przybyła po południu przyjąć powinszowania i życzenia swej nowej rodziny. Nie okazując przesadnej nieśmiałości ani uczuciowości, wystąpiła w roli swobodnej światowej kobiety, tak więc jej widzenie się z Idą nie było zbyt kłopotliwem dla tej ostatniej.

— Zdaje mi się że ta nasza tajemnica oddawna już znaną była całemu światu, rzekła wesoło Zofia; może nie byliśmy dość przezorni aby ukryć nasze zamiary. Co do ciebie, Ido, wiem że podejrzenia twoje zwracały się w inną stronę. Biedny doktor Burnet! przyznaję iż byłam nim trochę zajęta a i dziś jeszcze obchodzi mnie do pewnego stopnia.

Ida silnie wzruszona odwróciła głowę. Uspokoiwszy się nieco, rzekła:

— Wszak będziesz dobrą dla mego wuja, Zofio?

— Nic nie przyrzekam naprzód, odpowiedziała śmiejąc się; stworzony jest na to aby go tyranizować—bez tego byłby najnieszczęśliwszy. Zdaje mi się jednak że mogę przyobiecać że jarzmo moje nie będzie tak ciężkie jak Janiny, a może nawet i nieco lżejsze od twego, dodała nieśmiało.

W tej chwili wszedł pan Marlowe ze swoją starszą córką, która z protekcyjną miną trzymała rękę na szerokiem jego ramieniu.

— Dzieńdobry, Zofio, rzekła podając jej rękę; doprawdy, odważna jesteś żeby przyjeżdżać w czas tak szkaradny. Dziś wcale nie spodziewaliśmy się gości.

— Doprawdy? odrzekła zimno Zofia. Przyjechałam ponieważ mam pomówić o interesach z twoim ojcem; może na ten czas pójdziesz uczyć się razem z Emilią.

Posłyszawszy tak nadspodziewaną propozycyę, Janina osłupiała i słowa przemówić nie była w stanie; ochłonąwszy zawołała czerwieniąc się z gniewu:

— Uczyć się mam razem z Emilią! Zapominasz się, Zofio! Cóż to znowu, wypędzasz mnie z mojego salonu!... Czy słyszysz, ojcze? pytam się ciebie czy to słychana rzecz?... Ona wypędza mnie z mojego salonu!...

Ale pana Marlowe nie było już w salonie; uznał stosownem ratować się ucieczką, zostawiając pole walki stronom wojującym.

— Janino, rzekła poważnie Zofia, proszę cię skończ te sceny; gdy się dowiesz jakie łączyć nas mają stosunki, poznasz że musisz być posłuszną. Proszę, wyjdź zaraz, dodała wskazując drzwi—dość tego!

Janina przez chwilę stała jakby skamieniała, potem wybiegła prędko zanosząc się od płaczu, dotknięta tak niespodziewanym ciosem.

— Janina jest ładna, rzekła spokojnie Zofia, ale taka harda i samowolna, iż dla własnego jej dobra trzeba oddać ją jeszcze na parę lat na jaką dobrą pensyę, gdzieby ją krócej trzymano.

XXXI.

Tak więc rozstrzygnęły się losy wszystkich osób obchodzących Idę. Zofia silną dłonią ujmie wodze domowych rządów, a choć nie będą one tak tyrańskie jak Janiny, jednakże ona żadnego w nich nie będzie mogła mieć udziału. Z Janiną mogła jeszcze walczyć o pierwszeństwo—Zofii zaprzeczać go nie może—powinna więc ustąpić.

Każda inna osoba w jej położeniu, młoda, piękna, a nadewszystko tak bogata, nie potrzebowałaby się troszczyć co ma robić i gdzie się podziać, bo świat gotów każdej chwili przyjąć z otwartemi rękami każdego kto przychodzi doń z dobrze napełnionemi kieszeniami. Jak tylko rozeszła się wieść o małżeństwie jej wuja, który tem samem potrzebować już nie będzie jej opieki, nie zbrakło jej wielbicieli ofiarujących się dopomódz jej w dźwiganiu ciężaru pięciu milionów. Chaloner pierwszy oświadczył jej iż on i ona mogliby płonąć czystym płomieniem na jednym ołtarzu.

Odmówiła wszystkim mówiąc iż nie ma zamiaru iść zamąż, i postanowiła sobie podróżować rok cały. Zimę zamierzała spędzić w Egipcie, wiosnę we Włoszech, lato w Szwajcaryi. Dotąd wielki posiadany majątek był jej zupełnie obojętny, obecnie zaczynała więcej go cenić, jako środek dozwalający jej szukać zapomnienia i rozrywki.

Od czasu powzięcia tego postanowienia, długie godziny rozpatrywała się w mapach i czytała rozmaite przewodniki; starała się znaleźć odpowiednie do podróży towarzystwo, i wszystko to zajmowało ją tak żywo jak Zofię wykończenie wyprawy odpowiedniej przyszłemu jej stanowisku. Pragnęła aby wyprawa ta była piękną i elegancką, a nie stanowiła znów zbyt rażącej sprzeczności z prostotą i zaniedbaniem przyszłego męża.

Pewnego poranku Ida siedziała w salonie zabierając się do odpowiedzi na mnóstwo listów odnoszących się do zamierzonej podróży, gdy wuj wszedł nagle w podróżnem ubraniu, choć przy śniadaniu nic nie wspominał że się wybiera w drogę. Twarz jego zdradzała żywy niepokój!

— Przychodzę pożegnać się z tobą, Ido; jadę do Londynu.

— Zkądże tak nagłe postanowienie, kochany wuju?

— Bo... bo... odrzekł zakłopotany, odebrałem złe wiadomości.

— Czy tak? odrzekła wstając i z zajęciem zbliżając się do niego.

— Co gorzej, że wiadomości te nie mnie osobiście dotyczą—cobym już wolał... ale... jest to...

Z uroczystej jego miny poznała że o nią właśnie chodziło, i zanim miała czas zastanowić się i zapytać, straszna myśl przyszła jej do głowy że nieszczęście jakieś spotkało doktora Burnet'a.

— A więc do mnie się odnoszą te smutne wiadomości! O! proszę cię, wuju, powiedz prędzej całą prawdę!... Czy *kto* zachorował? zawołała, nie pomyślawszy że choroba doktora Burnet'a nie zaniepokajałaby tak bardzo pana Marlowe.

Wstrząsnąwszy przecząco głową, odpowiedział:

— Nie, nie, nic o nim nie wiem... tylko przeczytałem to w dzienniku, dodał wskazując paragraf. Nie chciałbym cię niepokoić Ido, ale... ale... nie podoba mi się to ogłoszenie.

Rzuciwszy oczyma na wskazany ustęp, Ida przeczytała co następuje.

Wiadomość telegraficzna:

„Na zgromadzeniu dyrektorów, odbytem wczoraj w Edymburgu, zostało postanowionem że Bank Druncoe et Forbrigg zawieszają wypłaty.“

W tym właśnie banku złożone były summy zapisane Idzie przez zmarłego jej kuzyna.

— A więc o to tylko chodzi! zawołała oddychając swobodniej. Proszę cię, kochany wuju, nie kłopocz się tem wcale. Pieniądze te dostały mi się bez trudu i niespodzianie, i w podobny sposób znikają, dodała żartobliwie.

Nie uspokoiło go jednak to jej odezwanie.

— Nie chciałbym przerażać cię zbytecznie, odrzekł poważnie, ale obawiam się aby wypadek ten nie pociągnął ważniejszych strat niż mniemasz. Wiesz że z powodu tego spadku przedstawiasz jednego z założycieli owego banku?

— Tak, wiem, więc cóż z tego?

— Według ustaw, wszyscy akcyonaryusze tegoż banku są odpowiedzialni nietylko do wysokości summ w nim złożonych, ale całem swoim majątkiem.

— Tego nie pojmuję, odrzekła spokojnie, abym z tytułu posiadania sum w tym banku, narażona była na utratę całego mienia. Jakżeż to być może? przecież nie ja lokowałam w nim te summy.

— Takie jest prawo, moje dziecię.

— Więc mówisz wuju, że mogą zabrać cały mój majątek?

— Tak, odrzekł mocno strapiony. Nie dość na tem, nawet opiekunowie twoi byliby odpowiedzialni, gdyby wypadek ten nastąpił przed dojściem twojem do pełnoletności. Sześć miesięcy temu, i Burnet straciłby całe swoje mienie.

— A! dzięki Ci, Boże! żeś tego nie dopuścił! zawołała z uczuciem.

Ida stała najspokojniej od czasu przeczytania przerażającego telegramu; teraz pokiwała śliczną główką i kładąc zaledwie lekko drżącą rękę na ramieniu wuja, rzekła z zimną krwią:

— Nie ma co trapić się może daremnie. Kiedyż dowiem się czegoś stanowczego? chciałabym żeby to mogło nastąpić jak najprędzej.

— Dla tego właśnie jadę do Londynu, odrzekł żywo. Muszę widzieć się z Saunders'em, on objaśni mnie dokładnie.

W dziesięć minut później zapinał gorączkowo paltot i odjechał uściskawszy Idę, której prosił aby zbytecznie nie poddawała się zmartwieniu. Patrzyła za odjeżdżającym z uśmiechem na ustach, dziwiąc się trochę sama sobie że nie doświadcza żadnego żalu ani niepokoju.

XXXII.

Trzy dni trwała nieobecność pana Marlowe; Ida była równie spokojna jak w pierwszych chwilach po odebraniu tej wiadomości, a co więcej zdało się że w ciągu całego życia nie zaznała dni podobnych.

Przyjaciele i rodzina mniemają że była jakby bezmyślna z powodu ciosu jaki ją spotkał—ona jednak wie dobrze że się mylą, że przeciwnie, w umyśle jej powstają teraz głębsze i ruchliwsze zarazem myśli. Dotąd majątek żadnego nie przyniósł jej szczęścia, a choć rozum każe go żałować, serce przecież czuje się swobodniejszem od chwili gdy go postradała.

Kiedy się śmieje, wszyscy dokoła mniemają że to śmiech nerwowy; mówiąc do niej zniżają głos, obawiając się zbytecznie wstrząsnąć jej umysłem. Nawet Janina zła i upokorzona, łagodniejszym głosem przemawia teraz do niej. Ida czuje jednak że nie ma prawa do tych oznak współczucia, które zawdzięcza tylko błędnym pojęciom otaczających.

Pan Marlowe powrócił znękany i strapiony więcej jak kiedykolwiek, gdyż jak najgorsze przywoził wiadomości. Bankructwo było najzupełniejsze, Ida stała się jedną z jego ofiar. Wuj ze łzami w oczach zwiastował jej to nieszczęście; i ona zapłakała przez sympatyę, ale serce jej nie podziela tego smutku. Musiała nawet zapanować nad sobą aby się nie roześmiać, gdy wuj opanowany chwilowem wrażeniem, ofiarował się zrobić to poświęcenie aby zerwał ze *swają* Zofią i powrócić jej stanowisko jakie zajmowała uprzednio w jego domu i w jego sercu.

Zofia także szlachetnie postąpiła w tej okoliczności.

— Kochana Ido, rzekła uściskając piękną jej rękę, nie ma potrzeby mówić że dom nasz jest zawsze i twoim. Pewna jestem ze nikt nie sprzeciwi się temu, dodała zwracając się do narzeczonego.

Ten nie wie co odpowiedzieć, a Ida nie mogła powstrzymać uśmiechu, myśląc o tem co jej oznajmił przed chwilą. Oboje nie szczędzili jej łez i pieszczot; po chwili wybiegła z salonu pod pozorem że idzie do swego pokoju, w rzeczywistości poszła w stronę góry świeżem odetchnąć powietrzem.

Potrzebowała samotności aby zdala od wszystkich módz śpiewać i myśleć swobodnie, nie tłumiąc uniesień serca napawającego ją szaloną radością.

Zwróciła swe kroki ku wzgórzu Docker Moor i prędko wbiegła na szczyt jego, zkąd roztaczał się widok na morze i świeży wietrzyk ją owiewał. Zadyszana prędkiem biegiem, rzuciła się na omszoną skałę. W całej okolicy żywej duszy nie było. Cisza panująca w przyrodzie i jej się udzieliła; oczy ogarniały otaczającą ją przestrzeń od wybrzeży zalewanych przypływem morza do wzgórz wznoszących wysoko swe słońcem oświecone wierzchołki i ślicznych łąk roztaczających się do koła. Był to śliczny i świetny dzień jesienny ozłocony odbłyskami nocnych przymrozków.

Gdy tak samotna siedziała na szczycie góry, lekki uśmieszek twarz jej rozjaśniał. Cieszyło ją że jakby szczęśliwa wróżba, słońce tak jasno świeci w dniu, w którym ruina na jej majątku nie ulega zaprzeczeniu; że wszystko co ją otacza zdaje się radować wraz z nią że z ramion jej spadł tak wielki ciężar, że zapora oddzielająca go od niej runęła jak mury Jericho na odgłos trąby, i że teraz nic mu już nie przeszkadza wyciągnąć do niej rękę po nad wszystkiemi temi zgliszczami.

Noc prędko zapada w tej porze roku; musi wracać do domu gdyż słońce ma się już ku zachodowi. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na te czarujące krajobrazy, gdy już miała odejść, ujrzała samotną postać wdzierającą się po ścieżce którą ona przeszła przed chwilą. Powstrzymawszy oddech, czeka nieruchomie przybycia tego którego ujrzeć miała nadzieję—poznała go z daleka. Nie została zawiedzioną, czuła że przyjdzie—ale nie wiedziała że to dziś jeszcze nastąpi, i że dzień ten stanie się odtąd najpiękniejszym w jej życiu.

Gdy był już blizko niej, chciała podejść ku niemu, ale radość ubezwładnia równie jak boleść, postała nieruchoma a po chwili opadła na omszoną skałę.

Zbliżył się, jest już tuż przy niej; rozpromieniona twarz jego jaśniała miłością i szczęściem.

— Czy przybywasz pan wyrazić mi swoje ubolewanie? zapytała podając mu rękę, z łagodnym i drżącym uśmiechem.

Nic nie odpowiedział, tylko schylając się do stóp Idy, ujął skraj jej sukni i poniósł do ust.

— Co pan robisz? zawołała wzruszona niewymownie.

— Przychodzę prosić... błagać o tak wielką łaskę, iż brak mi słów do jej wypowiedzenia... Dziwię się sam sobie że śmiem choćby marzyć o tem. Oboje milczeli chwilę, nareszcie Ida przemówiła pierwsza.

— Poświęciłeś pan szczęście dla dumy; czyż możesz wiedzieć czy i ja nie postąpię tak samo?

Za całą odpowiedź objął ramieniem wiotką jej postać; ona nie mając siły oprzeć się temu namiętnemu uściskowi, ukryła na jego ramieniu twarz zroszoną łzami radości, a po chwili wyszeptała:

— Wszak powiedziałeś pan, iż wolałbyś aby cię odarto ze skóry, niż...

Pocałunek zamknął jej usta, nie dozwalając dokończyć tych słów nieszczęsnych.

KONIEC.

DZIEDZICZKA.

Przez

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM I.

I.

Dziecię zaniedbane w galeryi portretów familijnych.

W każdym starożytnym zamku znajduje się jakiś widmo lub pokój nawiedzany przez duchy. Zamek Seaforth nie stanowił pod tym względem wyjątku; małe widmo snuło się samotnie po jego obszernych salach i korytarzach. Nie był to jednak upiór ani też dusza pokutująca, lecz jedyna córka lorda Seaforth.

Dziewczynka trzymana zupełnie na uboczu, utworzyła sobie jakieś odrębne życie wśród pamiątek przeszłości, napełniających starożytne gniazdo Seaforth'ów. Nie przerażały jej puste pokoje, długie i ciemne korytarze, nie lękała się marsowatych rycerzy w zbrojach, których zastawała zawsze na tem samem miejscu, w zimnej i cichej galeryi rodzinnych portretów, stanowiącej ulubione jej schronienie. Tam-to przepędzała długie godziny sama jedna; ci wszyscy jej przodkowie spoglądający na nią w milczeniu z ram swoich, byli towarzyszami jej zabaw, śmiała się do nich, rozmawiała z nimi jakby ją mogli słyszéć, i wyobrażała sobie że ją rozumieją, a nawet że jej odpowiadają.

Nie mając przyjaciół w odpowiednim wieku, utworzyła ich sobie z wizerunków prapradziadów i praprababek rodzonych i ciotecznych, zmarłych na wiele lat przed jej urodzeniem; ale którzy, jak mówiła sobie, byli przecie kiedyś dziećmi. Zresztą wielu z nich było malowanych w młodym, lub nawet dziecinnym wieku, była więc otoczona żwawymi chłopcami i ładnemi dziewczynkami z wesołem spojrzeniem, z wypogodzoną twarzą, którym zazdrościła zawsze, bo wszakże nie uśmiechaliby się tak swobodnie, gdyby byli tak samotni jak ona.

Znajdowały się między temi portretami grupy przedstawiające dzieci bawiących się na trawniku i plotących gierlandy z kwiatów któremi stroiły swe dziwacznych kształtów kapelusze; na innych wesoła gromadka uganiała się za motylami, tańcowała na łączce, lub stojąc nad jeziorem rzucała chleb pięknym białym łabędziom.

Były także portrety dzieci przedstawionych osobno: naprzykład mała dziewczynka trzymająca na ręku kotka, inna znów prowadząca baranka uwieńczonego kwiatami, lub mały chłopczyk obejmujący rączkami szyję wielkiego psa.

Wśród tych wszystkich portretów znajdował się jeden wywierający jakiś dziwny urok na dziewczynkę; przedstawiał on ośmnastoletniego młodzieńca z twarzą myślącą i czarnemi oczyma. Na ramie znajdował się napis: „*Godfreed hrabia Seaforth, odmalowany w 1763.*"

Wszyscy inni hrabiowie Seaforth nosili imię Harold, dla tego też Joanna rozmyślała nad tem często, dla czego ten jeden był Godfredem.

Niekiedy całe godziny rozmawiała z tym pięknym Godfredem, którego twarz szczera i rozumna budziła w niej największe zaufanie. Wszyscy patrzyli jedni na drugich, lub zdawali się tak zajęci swemi kwiatami lub ulubionemi zwierzętami, że nie zwracali wcale na nią uwagi; *Godfred hrabia Seaforth, odmalowany w 1763*, sam jeden tylko spoglądał na nią przyjaźnie. Pokładała w nim tyle ufności, że często, gdy nadchodziła godzina lekcyi, pozostawiała u stóp jego swe lalki i inne zabawki, jak szczęśliwsza od niej dziewczynka, powierzałaby je starszemu bratu.

Wychodząc z galeryi mówiła zwykle do niego: „Opiekuj się nimi dopóki nie wrócę! Wiem że mogę spuścić się na ciebie!" Ma się rozumiéć, że w kilka godzin później znajdowała zabawki na tem samem miejscu, i zawołała ucieszona: „Byłam pewna że nie zawiedziesz mego zaufania!"

Nigdy nie przyszło jej na myśl powierzyć swych lalek ktoremuś innemu ze swych przodków. Bawiła się z nimi, przemawiała do nich, wyobrażała sobie nawet niekiedy, że plecie gierlandy z kwiatków wraz z Haroldami, Joannami i Brygitami, żyjącemi kiedyś przed laty; ale jednemu tylko Godfredowi powierzała swe myśli, zamiary, żale, a nadewszystko smutki, które, niestety, zasępiały jej dziecinne lata. Mówiła często do portretów bawiących się dzieci: „Myślicie zawsze tylko o zabawie, a ja dziś potrzebuję mówić poważnie!"

Nieszczęściem dni takie zdarzyły się bardzo często; biedna Joanna zrozumiała to nazbyt wcześnie że przychodząc na świat, sprawiła przykry zawód nietylko rodzicom nie kochającym jej wcale, ale i tym wszystkim którzy ich otaczali.

Nieroztropna piastunka opowiadała jej często różne szczegóły towarzyszące jej urodzeniu; jakie czyniono przygotowania na przyjęcie przyszłego dziedzica, i jak przykrego doznano zawodu, gdy w jego miejsce ona przybyła.

„Powiedz mi cóś więcej jeszcze, —mówiła Joasia, słuchająca ją zawsze z zajęciem i smutkiem,—opowiedz mi to jeszcze dokładniej!" i piastunka opisywała jej wtenczas z przesadą jakie to zamierzano puszczać fajerwerki i dzwonić we dzwony z chwilą przyjścia na świat dziedzica, czego dla niej nie uczyniono, jak wszyscy fermierzy oczekujący na dziedzińcu, rozeszli się zasmuceni do domu, nakoniec o niezadowolnieniu wszystkich w zamku, a nadewszystko ojca który kazał rozejść się wszystkim, nie pozwalając na najmniejsze nawet oznaki radości, i matki, która powiedziała: „Zabierzcie ją ztąd, nie chcę na nią patrzyć!"

Piastunka wyprowadzała zawsze z tego tę moralną naukę że Joanna powinna być bardzo grzeczna, posłuszna i łagodna, aby sobie mogła tym sposobem wyjednać przebaczenie rodziców za tak wielkie zmartwienie jakie sprawiła im przez swe urodzenie. Biedne dziecko! Była już z natury łagodna i uległa, a opowiadania piastunki uczyniły ją jeszcze lękliwą i nieśmiałą; usuwała się o ile możności na stronę, aby się jak najrzadziej spotykać z rodzicami.

Piastunka nie domyślała się nawet, jak silne wrażenie wywierało jej opowiadanie na umyśle małej Joanny, która słuchała jej zawsze w milczeniu, nie czyniąc żadnych uwag. Jedynie w galeryi, stojąc przed swym ulubionym portretem, wynurzała mu swe uczucia i myśli. *Godfred hrabia Seaforth, odmalowany w roku 1763* rozumiał ją tak dobrze i tak ubolewał nad nią! Jego wielkie czarne oczy spoglądały na nią smutnie lub z czułością, stosownie do zwierzeń jakie mu czyniła, gdyż malarz nadał dziwnie głębokie spojrzenie, tym ośmnastoletnim oczom.

Jeźli dręczyła biedną dziewczynkę myśl że jej przyjście na świat nie było dla nikogo pożądaniem, wtenczas odzywała się ze smutkiem: „Godfredzie, hrabio Seaforth, jakżebym chciała być *tobą*! Jakże *twój* ojciec i *twoja* matka musieli być uszczęśliwieni z *twego* urodzenia! Jak wesoło wtenczas musia-

ły odzywać się dzwony! Nie nakazano im z pewnością milczenia, nie zabroniono cieszyć się wszystkim! *Twoja* matka nie powiedziała: „Weźcie go nie chcę na niego patrzyć!”

Biedne dziecko! ten ostatni szczegół był dla niej najboleśniejszy, i za każdym razem gdy powtarzała te przykre i zimne słowa, zalewała się rzęsistemi łzami. W takim razie piękne oczy Godfreda spoglądały na nią z taką czułością jakby ją pocieszyć chciały!

Napróżno usiłowała odgadnąć dla czego jej rodzice tak pragnęli mieć syna, a tak ubolewali nad tem że mają córkę.

Niekiedy znów ta słodka i cicha istota oburzała się na niesprawiedliwość losu.

„Czy to moja wina?” wołała wtenczas upadając na kolana przed swym przyjacielem i wyciągając do niego błagalnie ręce.

Czuła się spokojniejszą użaliwszy się przed nim, choć nie mógł jej odpowiedzieć ani wytłomaczyć dla czego jej życie było tak smutne już od kolebki, ani też czemu na jej niewinnem czole były wypisane te bolesne i okrutne słowa: „Jesteś zbyteczną na świecie!”

Gdyby miała serce mniej czułe i kochające, życie tak samotne w dziecinnym wieku mogłoby wydać szkodliwe skutki. Cóż byłoby dziwnego gdyby Joanna stała się złą, mściwą i dumną?

II.

Dwóch braci.

Rodzina Seaforth'ów należała do najstarożytniejszych w Anglii, a obszerne jej włości, już od kilku wieków, przechodziły nieprzerwanie z ojca na syna, co hrabiowe Seaforth uważali za największą dla siebie chlubę.

Żaden niewarto, żaden marnotrawca nie zaćmił herbowej tarczy starożytnego rodu, a dobra przechodziły zawsze nienaruszone w ręce uczciwego i sumiennego spadkobiercy.

Blizko na trzydzieści lat przed epoką od której zaczęliśmy nasze opowiadanie, hrabia Seaforth, człowiek bardzo słabowity, pozostał wdowcem mając dwóch małych jeszcze synów.

Ponieważ z Seaforth do Londynu było bardzo daleko, a stan zdrowia hrabiego nie dozwalał mu prawie wyjeżdżać z domu, życie jego synów było aż nazbyt jednostajne i odosobnione. Skoro podrośli, oddano ich do szkół, jak wszystkich innych chłopców w równym z nimi wieku, a trzy razy w ciągu roku przyjeżdżali do ojca na wakacye.

Starszy z nich Harold był małomówny, rozważny, dumny, nawet pyszny i zarozumiały; ale jeżli posiadał silną wolę, wysokie wyobrażenie o sobie i chęć przewodzenia nad innymi, to obok tego posiadał charakter bardzo prawy i głębokie poczucie sprawiedliwości. Usta jego nie splamiły się nigdy kłamstwem, dla tego też ojciec pokładał w nim nieograniczoną ufność i był przekonanym że nie zboczy nigdy z drogi obowiązku i honoru.

Młodszy syn Godfred był o tyle nierozważnym i lekkomyślnym, o ile brat jego poważnym i surowym. Posiadał charakter słaby, ulegający wszelkim wpływom, nie miał żadnego poczucia osobistej odpowiedzialności, najmniejszego względu na siebie lub innych, i prawie żadnych zasad. Myślał o tem jedynie aby się bawić choćby z zaniedbaniem swych obowiązków i często w sposób niezgadzający się z zasadami honoru.

Łatwo zrozumieć że przy tak rażącej sprzeczności charakterów, bracia już od dzieciństwa musieli być z sobą prawie ciągle w nieporozumieniu. Z czasem obojętność zmieniała się w niechęć, a prawdopodobnie hrabia przyczynił się do tego pomimowolnie; zbyt słabowity aby sam mógł czuwać nad chłopcem tak burzliwym jak Godfred, sądził że uczyni najlepiej, powierzając nad nim dozór starszemu bratu, tak rozsądnemu i tak chętnie wyręczającemu ojca.

Godfred oburzał się na tę rozciągniętą nad nim opiekę i ciągle buntował się przeciwko władzy nadanej bratu. Niecierpliwiło go postępowanie Harolda wolne od wszelkiego zarzutu, a w Haroldzie znów lekkomyślny charakter Godfreda wzbudzał tylko pogardę. Obawiał się zawsze aby się nie dopuścił czegoś takiego co mogłoby przynieść ujmę nazwisku z którego był tak dumnym, co w jego oczach byłoby niedarowaną zbrodnią.

Harold był namiętnie przywiązanym do swego nazwiska, do starożytnego gniazda swych przodków i do tradycyi rodzinnych.

Pragnął przepędzić całe życie w Seaforth, i zamyślał zamieszkać tam zaraz po skończeniu uniwersytetu, aby dopomagać ojcu w zarządzaniu wielkiemi dobrami, które miały kiedyś należyć do niego.

Będąc jeszcze prawie dzieckiem, skreślił sobie następujący program na całe życie: W szkołach prowadzić życie wolne od wszelkiego zarzutu; obchodzić świetnie dzień swej pełnoletności; ożenić się z kobietą kochaną, piękną i szlachetną i prowadzić życie użyteczne i zaszczytne w rodzinnem zakątku ziemi, tak dla niego drogim, że kochał w nim każde drzewo, każden nawet kamień.

Marzenia młodszego brata były całkiem inne. Dla niego nieznośnem było ceremonialne, smutne i jednostajne życie w Seaforth, i chcąc wyzwolić się od niego, pragnął jak najprędzej wstąpić do wojska. Tym sposobem wyzwoliłby się z pod dozoru brata i od ciągłej z nim styczności.

Na kilka miesięcy przed pełnoletnością Harolda, (obchodzoną w rodzinie Seaforth'ów po skończeniu dwudziestu pięciu lat życia) obydwaj bracia potrafili już urzeczywistnić część swych zamiarów. Harold mieszkał w Seaforth, wyręczał chorego ojca i był uważany przez wszystkich za rzeczywistego pana domu.

Godfred został kapitanem kawaleryi, żył zdala od Harolda, i niestety, usprawiedliwiał już w części obawy ojca i brata. Prowadził życie bezczynne, myślał tylko o rozrywkach i zabawach, a prócz tego grał namiętnie w karty. Ojciec już trzy razy płacił za niego długi, a Godfred zamierzał właśnie uciec się po raz czwarty do jego szczodrobliwości, gdy został zawezwanym do Seaforth na dzień pełnoletności Harolda, pomimo ich wzajemnej do siebie niechęci.

Niestety, ta niechęć miała się zamienić wkrótce w antypatyę, trwającą przez długie lata.

III.

Pierwsza zmiana w programie.

W tymże samym czasie gdy Harold zamieszkał stale w Seaforth, zakończył życie stary, miejscowy pastor, a młody lord powołał na jego miejsce, w imieniu ojca, jednego ze swych kolegów, który już przez to samo budził w nim zaufanie, że pod względem charakteru byli bardzo do siebie podobni.

Edward Stanhope zamieszkał na plebanii z młodą żoną i siostrą, nieposiadającą żadnego majątku, która po śmierci rodziców mieszkała przy nim.

Jak tylko Harold poznał tę młodą panienkę, piękną, miłą, szczerą i wykształconą, uznał że jest urzeczywistnieniem jego ideału kobiety, i sam nie wiedząc o tem, pokochał ją zaraz od pierwszego widzenia. To było powodem że wkrótce ścisłe związki przyjaźni połączyły mieszkańców zamku i plebanii.

Harold bywał prawie codzień u przyjaciela, który równie jak jego żona, domyślił się niedługo, kto tak przyciąga Harolda do ich domu. Wszyscy odgadywali to zresztą, prócz Estery, niewiedzącej o tem wcale że obudziła tak głębokie uczucie; a jak się to często zdarza, właśnie podobieństwo ich charakterów zarówno poważnych i przezornych, prędzej oddalało jak pociągało ją ku niemu. Trzeba pamiętać, że często prawo kontrastu działa stanowczo w miłości i usprawiedliwia ją z jej zwykłej ślepoty.

Estera widziała w młodym lordzie, na pozór zimnym i surowym, protektora i przyjaciela brata; ale bardzo jeszcze młoda, obdarzona żywością uczuć i sercem kochającem, zdolnem do poświęceń, nie mogła przypuścić, aby ten uczciwy ale surowy Harold z chłodnym umysłem i niezdolny do uniesień, mógł się kiedyś zakochać i to w niej jeszcze. Podobna myśl nie powstała nigdy w jej umyśle.

Nie dostrzegając więc wcale sieci któremi ją chciano otoczyć, zachowała zupełną spokojność umysłu, a na nieszczęście, zakochany Harold widział w tem jakąś dla siebie zachętę. Estera miła i uprzejma dla wszystkich, nie mogła być inną dla przyjaciela brata, a jeżeli stosując się do jego prośby, siadała do fortepianu i grała lub śpiewała, pochodziło to jedynie z prostej grzeczności. Zresztą wysoko muzykalna i posiadająca głos prześliczny, sprawiała tem samej sobie prawdziwą przyjemność, i nie domyślała się wcale że Harold wpadał w prawdziwe zachwycenie słuchając jej śpiewu.

Często nie wiedziała nawet że jest obecnym, gdy on tymczasem siedząc blizko niej, słuchał z upojeniem cudnych dźwięków jej głosu, budzących w nim uczucia i wrażenia, których, jak mu się dotąd zdawało, nie byłby zdolnym ani doznawać, ani też wyrazić. Tłomacząc sobie mylnie jej pełną wdzięku uprzejmość, z którą spełniała jego życzenia, biedny Harold zaczynał łudzić się nadzieją, że pozyskał wzajemność. Czuł to dobrze iż szczęście całego jego życia od niej jednej zależy i że jedynie zostając jego żoną, mogłaby mu je zapewnić. On tak dumny i pyszny, spotkał nareszcie istotę której wyższość nad sobą uznawał.

Nadeszła chwila stanowcza. W pewien piękny letni wieczór, nagle bez stopniowego przygotowania, wyznał młodej sierocie swoją miłość, w jej ręce składając przyszłość i szczęście swoje. Zdziwiona i przerażona oniemal tak niespodziewanem oświadczeniem, Estera w pierwszej chwili obraziła się prawie i bez najmniejszego namysłu odpowiedziała odmownie, prosząc aby nigdy nie wznawiał rozmowy w tym przedmiocie.

To *zakończenie* wywołało straszną burzę na plebanii; z początku ani pan ani pani Stanhope nie chcieli nawet wierzyć aby siostra ich mogła popełnić podobne szaleństwo. Sam Harold osłupiał ugodzony tak nieprzewidzianym ciosem, ale dodać trzeba na jego pochwałę, iż dotknął go tak boleśnie ze ani pomyślał o obrażonej miłości własnej. Idąc za radą przyjaciela, postanowił czekać cierpliwie nie zniechęcać się i nie nalegać na Esterę, której postanowienie nie wydawało się Edwardowi nieodmiennem. Jest jeszcze bardzo młoda, mówił, nie ma żadnego doświadczenia, i zadziwiona tak niespodziewanem żądaniem, zmuszona niezwłocznie odpowiedzieć na nie, nie umiała zdać sobie sprawy z tego jak ważną daje odpowiedź. Trzeba jej pozostawić czas do namysłu, a z pewnością zmieni zdanie.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 41.

(Dokończenie.)

Przód sukni widoczny przy szeroko otwartem vêtement może być przybrany stosownie do gustu. Baskina przednia podszyta sztywnym muślinem i szeroko podlistwowana, obciąga się na dół wielkiemi plombami ołowianemi i zakończa rozetą szmuklerską. Połączenie między garnirunkiem przednim a upięciem tylnem, stanowią dwa atłasowe pukle, na które potrzeba kawałków po 48 cent. szerokich a 57 długich. Jak to widać na ryc. 27, vêtement spięte jest tylko w pasie szmuklerską agrafką i odsłania aksamitną kamizelkę, zdobną koronkowym żabotem. Wykrój szyi vêtement wszyty w mały stojący kołnierzyk z wywiniętemi rogami. Spódnicę zdobią u dołu dwie plisowane falbaneczki atłasowe, wyżej zaś dane obłożenie aksamitne, 52 cent. szerokie, oszyte frendzlą z perełek. Na przednią draperyę daną skośnie, złożoną w trzy płaskie fałdy, potrzeba prostego bryta 40 cent. szerokiego. Zwracamy uwagę na rodzaj turniury urządzonej przy tej spódnicy, a wskazanej na ryc. 28 przedstawiającej suknię ze strony spodniej. Turniurę stanowią dwie stalki, wszyte w suknię w odstępie 40 i 79 cent. od górnego brzegu, 34 i 40 cent. długie, na końcach oszyte skórką i wygięte wypukło za pomocą pasków elastycznych zapinanych na haftki podług ryc. 28.

N. 29. Suknia z szalowem upięciem.

Każdy stanik daje się włożyć do tej sukni, przybranej u dołu plisowaniem z przemarszczanemi bufami 50 cent. szerokości. Po nad tym garnirunkiem przechodzi z przodu szalowa draperya, złożona z dwóch zachodzących na siebie części, dopełniona z tyłu upięciem z prostych brytów wyciętych u dołu w zęby, spuszczonych aż na plisowanie.

N. 34. Suknia z bluzkowym stanikiem.

Takie odrobienie sukni odpowiednie jest tylko dla młodych osób i nadaje się do materyałów cienkich i lekkich, jak mu[illegible]lin, grenadyna, matery[illegible]a i t. p. Bluzka w gó[illegible] połowie, rękawy i tunika [illegible] góry, zdobne są przemar[illegible]zeniem zwanem couliss[illegible] Ładnie odznacza figurę szwajcarski pasek z atłasu.

N. 35. Stanik z bawetem.

Zasługuje na uwagę oryginalne zapięcie stanika na wielkie pozłacane szpilki, które zaśrubowane są stale, a zapięcie dane od spodu na haftki. Zamiast paska na bawecie przewiązana dwa razy wstążka niezbyt szeroka. Spódnica z gładkiego materyału cała zaplisowana; upięcie z materyi deseniowej, z której uszyty stanik [illegible] pelerynka przemarszczona pod szyją.

N. 38. Suknia strojna z przemarszczanem vêtement. Patrz fig. 70.

Vêtement wykończone w zupełnie nowym guście przedstawione na ryc. 38 i na fig. 70, zapinane niewidocznie z przodu lub z tyłu, wymaga podszewki doskonale dopasowanej do figury, przemarszczanie bowiem dane pod szyją i nakształt gorsecika w pasie stosuje się do podszewki. Przody vêtement szeroko otwarte sfałdowane nakształt panier, z tyłu zaś dodany bryt prosty upięty na spódnicy. Szerokie rękawy przemarszczone kilkakrotnie przy ręce. Spódnicę zdobią bufy i falbany koronkowe.

Opis do N-ru 43.

N. 1. Ubranie z hiszpańskim kaftaniczkiem.

Na spódnicy w szerokie fałdy ułożonej, vêtement formą princesse jest krótko, bufiasto podpięte. Krótki hiszpański kaftaniczek bez rękawów, robi się z atłasu lub aksamitu w kolorze sukni, haftowanego złotem, albo z deseniowego adamaszku. Brzegi oszyte sznurem i perełkami; do zapięcia służą wielkie szmuklerskie guziki i pentlice z jedwabnego sznura.

N. 2—3 i 32. Suknia ze stanikiem z baskiną i draperyą na spódnicy. Model i miary draperyi na ryc. 32.

Ryc. 2 i 3 przedstawia z przodu i z tyłu suknię odrobioną z trojakiego materyału, to jest z wyrobu wełnianego, atłasu i pluszu. Przody stanika 57 cent. długie, z atłasowym 24 cent. szerokim plastronem, ułożonym w kontrafałdy 2 cent. szerokie, zakończone są u dołu dwoma 9 cent. szerokiemi atłasowemi częściami, które w środku są sfałdowane jak plastron, dalej gładko przyszyte, dochodzą do pleców, a u dołu zakończone są wypustką ze sznureczkiem. Plecy mają baskinę frakową w środku otwartą, po bokach zakończoną ranwersami pluszowemi, 11 cent. szerokiemi. Duży kołnierz wykładany i mankiety pluszowe. Spódnica oszyta dwoma plisowanemi falbanami, z których dolna węższa, jest z atłasu. Przód i boczne części draperyi, oznaczone na małym modelu literą *a* i *b*, zeszyte ze sobą, przyszywają się następnie do bocznych, sfałdowanych brzegów brytów tyl nych *c*. Następnie tylne bryty są w środku i u dołu do dwukropków przemarszczone i ściągnięte, a resztę gładkiej dolnej części, zarówno jak przedni brzeg draperyi, oszywa się plisą pluszową 11 cent. szeroką. Nakoniec pluszowy ranwers *d* przyszywa się z boków na tylnej draperyi, od gwiazdki do krzyżyka. Kokardy z wązkiej wstążki w atłasie.



N. 1—3. Ubrania domowe.

N. 1. Ubranie z hiszpańskim kołnierzykiem. N. 2—3. Suknia ze stanikiem z baskiną i draperyą. Patrz r. 32.

N. 6—7. Sukienka dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 48 w N. 36.

W środek pleców i w przody sukienki wszyte są części fałdowane, u dołu kilka razy przemarszczone, przy plecach zakończone oddzielną falbanką marszczoną z wązkim nagłówkiem, przy przodach luźno puszczone brzegi stanowią falbankę. Model do ryc. 6 odrobiony był z gładkiego jasno-popielatego beżu, z którego szarfa ukrojona była skośnie, a mankiety i kołnierz drobno plisowane. Wązka koroneczka stanowiła przyozdobienie. Ryc. 7 przedstawia sukienkę z beżu w drobną kratkę, ubraną atłasem granatowym, z którego szarfa w fałdy złożona, przedzielana jest z przodu ubraniem stanika, z tyłu w luźny węzeł przewiązana. Drobne plisowanie przy kołnierzu i mankietach i wypustki przy sukience są także z atłasu.

N. 8—10. Skrzyneczka na listy, biżuterye lub t. p., ozdobiona haftem złotym.

Skrzyneczka z wiekiem wypukłem, mająca 14 cent. długości, 9 szerokości a 8 środkowej wysokości, pokryta z wierzchu aksamitem bordo, haftowanym złotem, podług deseniu podanego na ryc. 9 i 10. Środek wieka zapełniały wązkie folgi złote, przeszywane takąż nitką. Resztę przyozdobienia stanowi koronka złota robiona na klockach. Wnętrze kufereczka wybite jasno-zieloną materyą.

N. 11—12. Stora do okna lub kapa na łóżko. Haft tamborkowy.

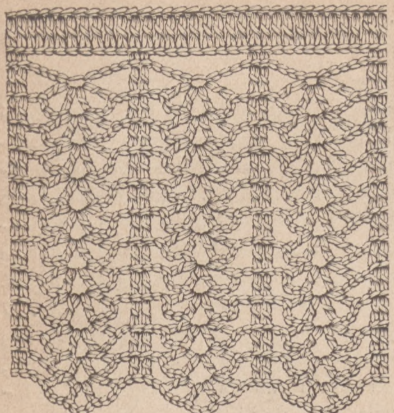
Ryc. 11 i 12 przedstawia nowy rodzaj haftu na płótnie lub innym stosownym materyale, na kapy, story lub firanki. Haft robi się w krośnach igłą tamborkową, albo też za pomocą maszyny do haftu. Tło całe zapełnia kratka lub paski robione jedwabiem cienkim kolorowym, dobrym do prania, a w deseniu tylko kontury robione są jedwabiem znacznie grubszym, a tło pozostaje gładkie. Po wyrysowaniu deseniu, najlepiej zapełnić tło paskami lub kratką, a następnie obrabiać starannie kontury, które mocują zarazem brzegi poprzedzającej roboty. Ryc. 12 przedstawia deseń szlaku w naturalnej wielkości, któren może być i oddzielnie użyty.

N. 13—14. Szlak wyszyty ściegiem greckim lub krzyżowym.

W N-rze 27 z r. b. przy ryc. 8—15 opisany jest szczegółowo i wskazany na próbkach rodzaj podobnej roboty, ściegiem nie mającym lewej strony, któren wykonany jedwabiem kolorowym cienkim, przez dodanie złotej koronki i wyszycie po brzegach rzędów łańcuszkowych, wyszytych nitką złotą, wiele zyskuje na piękności. Dla ułatwienia rachunku ściegów, podajemy na ryc. 14 ten sam deseń do zwykłej roboty krzyżowej, nadmieniając zarazem że każden deseń krzyżowy do bielizny przeznaczony, służy zarazem do ściegu greckiego, włoskiego lub perskiego.

N. 15—16. Dwie spódnice pod suknię.

Podług ciągle jeszcze trwającej mody, **spódniczki** są w górze prawie gładkie, a u dołu mają 205 cent. szerokości, z przodu około 98, z tyłu 102 cent. długości. Najwięcej używanym materyałem jest beż, kamlot, cienka flanelka i t. p. Ryc. 15 przedstawia spódniczkę w górze na tasiemki przyciąganą, u dołu oszytą 8 cent. szerokiem plisowaniem z materyału w pasy i trzema przemarszczanemi bufkami z gładkiego materyału, oddzielonemi od plisowania wypustką ze sznureczkiem. Model do ryc. 16 był w górze wszyty w karczek z elastycznego materyału 8 cent. szeroki. Garnirunek stanowiło plisowanie 10 cent. szerokie, przez środek

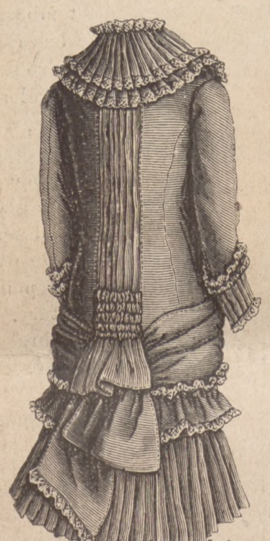


N. 4. Koronka szydełkowa do ryc. 9 w N-rze 44.

przestębnowane, w górze przyszyte 5 cent. szeroką wstążką atłasową heljotropowego koloru, przerabianą w pasy w guście rzymskim, u dołu oszyte takąż wstążką 3 c. szeroką.

N. 18 i ryc. 10 w N-rze 44. Suknia ze stanikiem do paska.

Model odrobiony był z kaszmiru i atłasu w pasy cieniowane takiegoż koloru. Spódnica u dołu oszyta wązką, a nad nią 30 c. szeroką, w kontrafałdy ułożoną falbaną, dalej na przodzie, o ile tenże wygląda z pod

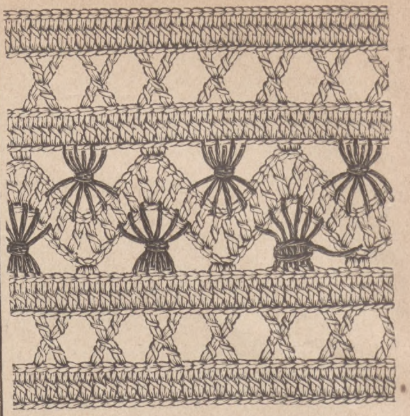


N. 6. Sukienka dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 7.

otwartej tuniki, dane przemarszczanie w bufki węższe i szersze. Przody tuniki w górze tylko na 27 cent. długości zeszyte, ozdobione są z brzegu szerokiemi, jedna na drugą zachodzącemi plisami, które naszyte są w ten sposób, iż zdają się tworzyć drugą tunikę, złączoną u dołu kokardą z atłasowej wstążki. Ryc. 20 w N. 43, przedstawia oddzielnie spódnicę ubraną atłasem gładkim, przy której widzimy w jaki sposób podpiąć lekko bryt tylny, w górze sfałdowany i w pasek wszyty. Z jednego boku na złączeniu tylnego bryta z przodem, dodane jest ubranie szarfowe, upięte z dwóch 16 cent. szerokich kawałków atłasu, w górze przyszytych pod przepięciem paska, ku dołowi węzłem złączonych. Końce szarf zdobią piękne, 20 c. długie kwasty szmuklerskie. Do szeroko otwartego do pasa dochodzącego szalowego kołnierza, dodana jest przemarszczana szmizetka z tego co suknia materyału, przepinana patkami z wązkiej wstążki, zakończonemi z jednej strony kokardkami.



N. 11. Stora do okna lub kapa na łóżko. Haft tamborkowy. Patrz ryc. 12.



N. 5. Wszywka szydełkowa do ryc. 9. w N-rze 44.



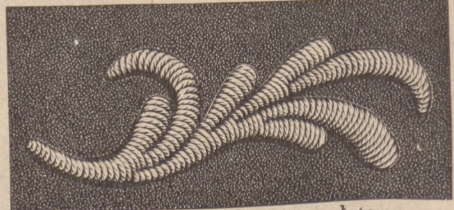
N. 7. Sukienka dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 6.



N. 9. Połowa arabeski do haftu złotem. Patrz ryc. 8.



N. 8. Skrzyneczka do listów, biżuteryj i t. p. Haft złotem. Patrz ryc. 9—10.



N. 10. Gałązka haftowana złotem, do ryc. 8.

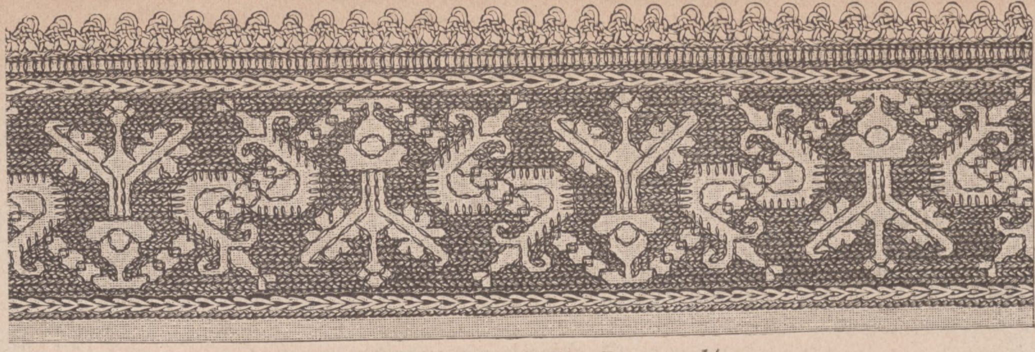
N. 19. Suknia z vêtement.

Przody i plecy vêtement są przy zeszyciu ramion sfałdowane, a u dołu poniżej wykroju pachy aż do miary średniej długości baskiny zbywająca szerokość jest równo przemarszczana; dalej boczny brzeg przodów vêtement, trzeba

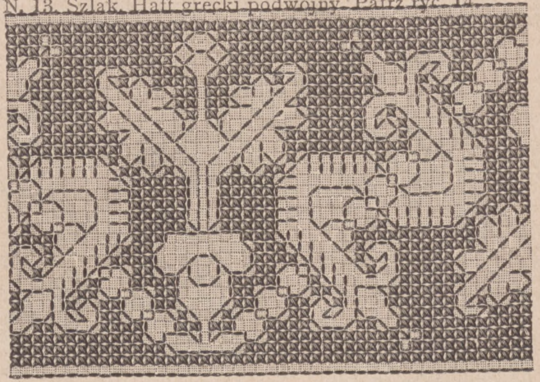


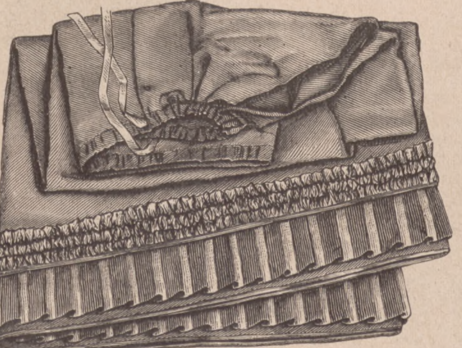
N. 12. Szlak ściegiem tamborkowym do ryc. 11. Wielkość naturalna.

krótko sfałdować i złączyć ze zręcznie upiętym brytem tylnym, który kraje się razem z plecami. Równie szerokie przemarszczanie i otwarta draperya w rodzaju panier, powtórzone jest z przodu na spódnicy, a pozostały klin zagarnirowany jest plisowaniem z materyału sukni, naprzemian z plisowaną koronką. U dołu suknia oszyta w koło falbaną ułożoną w podwójne kontrafałdy. Model odrobiony z kaszmiru ozdobiony był haftem maszynowym i żółtawą koronką.



N. 13. Szlak. Haft grecki podwójny. Patrz ryc. 14.





N. 15. Spódnica pod suknię.

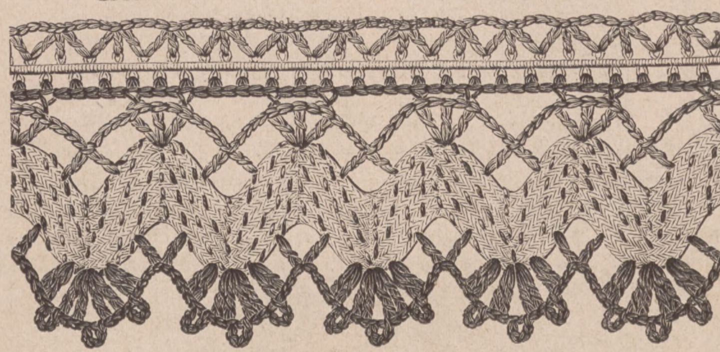


N. 16. Spódnica pod suknię.

N. 23—24. Dwa kapelusze jesienne.

N. 23. Kapotka aksamitna.

Główka pokryta jest aksamitem ułożonym w fałdy, rondko pokryte z wierzchu aksamitem gładkim, podszyte atłasem bufowanym. Do ubrania służy koronka wyszyta perełkami, (podług wzorów podanych na ryc. 4 w N. 35 i na dodatku z krojami do tegoż numeru, fig. 67—69,) którą przyszywa się gładko w ten sposób, żeby w połowie spadała z ronda. Nad koronką naszyta riusza z piór, dalej dane przewinięcie ze wstążki atłasowej i morowej 8 cent. szerokiej, oraz dwa strusie pióra.



N. 17. Ząbki z tasiemeczki obrobione szydełkiem kolorową bawełną.



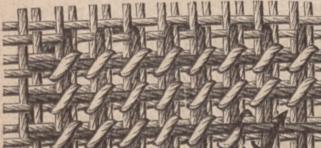
N. 18. Suknia ze stanikiem do paska. Patrz ryc. 10 w N-rze 44

N. 24. Kapelusz pluszowy okrągły.

Rondko z jednej strony w górę podniesione, podszyte jest bufowanym aksamitem, w koło na 2 cent. do brzega nie dochodzącym. Do ubrania służy wstążka morowa, przepinana stalowemi owadami i dwa długie strusie pióra do tyłu spuszczone.



N. 20. Część haftu szenelowego, do ryc. 48 w N-rze 44.



N. 21. Wyszycie na tło przy hafcie szenelowym ryc. 20.

N. 25. Wachlarz Pompadour.

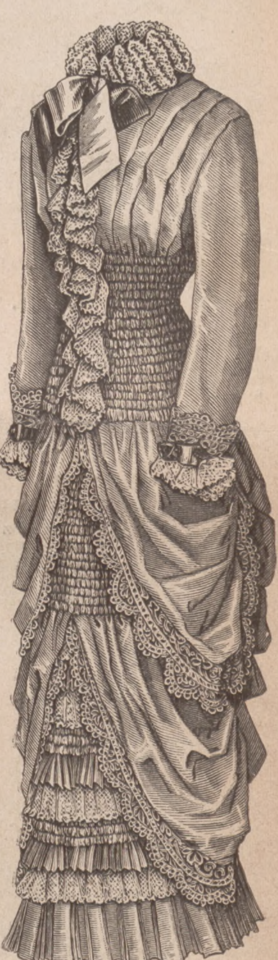
Duży wachlarz z czarnego drzewa, pokryty kretonem w różnokolorowe róże na tle czarnem.

N. 26—28. Haftowana chusteczka do nosa.

Batystowe tło trzymające 32 c. w kwadrat, ma obrąb 3 cent. szeroki, w miejsce stębnówki przyszyty drobnemi, haftowanemi muszkami. Szeroki delikatny haft atłaskowy, robiony jest nad obrębem. Ryc. 29 przedstawia narożnik i jedną figurę deseniu w naturalnej wielkości, a ryc. 27 i 28 dwa monogramy. W ryc. 27 i 29 kwiatki robione są w ten sposób, iż nawija się nitkę na igłę kilka lub więcej razy i wszystkie nawinięcia przeciąga razem nitką. Ten rodzaj haftu był nader upowszechniony przed dwudziestu kilku laty. Do oszycia służy koronka robiona na tiulu podług ryc. 14 w N. 44.

N. 30. Ubranie spacerowe z dolmanem.

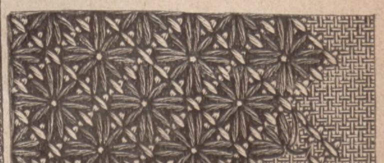
Ryc. 30 przedstawia paletocik który obok szerokich modnych, w plecy wchodzących rękawów, zachowuje formę ściśle wciętą do figury. Paletoty takie stanowiące nowość jesienną, wyrabiane bywają z twedu, szewiotu i t. p., najmodniejsze są jednak z chustek w kratę zwanych chustkami rygskiemi, od których odcięte frendzle służą do oszycia paletota. Formę damy na dodatku z krojami do N. 45 i 46.



N. 19. Suknia z vêtement.

N. 31. Ubranie spacerowe z krótkim wcinanym paletocikiem.

Spódnicę aż do paska pokrywają szerokie kaszmirowe wo-

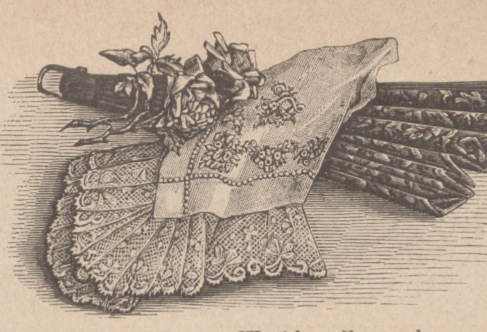


N. 22. Wyszycie na kanwie do ryc. 39 w N-rze 44.

lanty, haftowane czarnym jedwabiem w maszynie i oszyte 10 cent. szerokiem morowem plisowaniem. Z tyłu w miejsce draperyi upięta szeroka morowa szarfa. Krótki paletocik morowy otwarty z przodu i na szwach bocznych, objęty jest wypustką atłasową ze sznureczkiem i oszyty bogatą dżetową torsadą. Kapelusz jak na ryc. 23.



N. 23. Kapotka aksamitna.



N. 25. Wachlarz Pompadour.
N. 26. Chusteczka do nosa haftowana.



N. 24. Kapelusz pluszowy okrągły.



N. 27. Monogram do r. 26.

N. 33. Suknia ze stanikiem z długą baskiną.

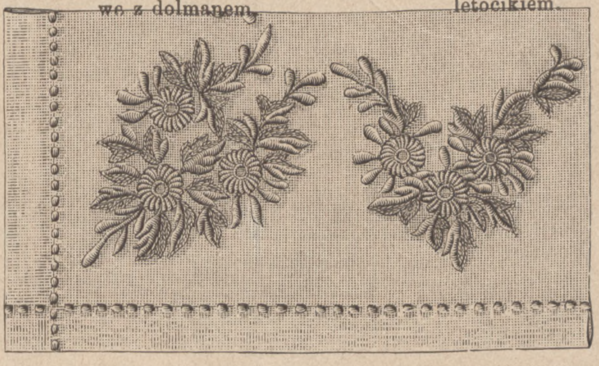
W górną część przodów wstawiona jest część przemarszczona dochodząca do wcięcia w pasie, równo jak chusteczka z czarnej hiszpańskiej koronki. Takaż koronka stanowi ubranie sukni.

N. 34. Ubranie z chusteczką.

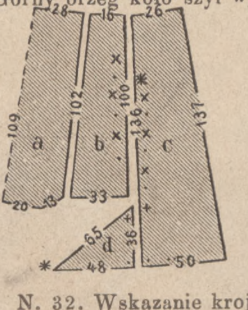
Chusteczka upięta z przodu długą gałązką kwiatów, zrobiona była z trójkątnego kawałka gazy białej jedwabnej w pasy, oszytego w koło nadmarszczoną hiszpańską koronką. Skośny brzeg idący do góry ma 130 cent. długości a 35 środkowej szerokości; dolne rogi trzeba trochę zaokrąglić przed oszyciem koronką. Górny brzeg koło szyi wykłada się na 4 c. szeroko, a w środku pleców pod wyłożeniem trzeba chusteczkę sfałdować do 9 c. długości. Do oszycia potrzeba 4 metry koronki 6 — 8 cent. szerokiej.



N. 30. Ubranie spacerowe z dolmanem.
N. 31. Ubranie spacerowe z paletocikiem.



N. 29. Szlak do chusteczki ryc. 26.



N. 32. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 2—3.



N. 33. Suknia ze stanikiem z długą baskiną.



N. 34. Ubranie z chusteczką.

Opis do N. 44.

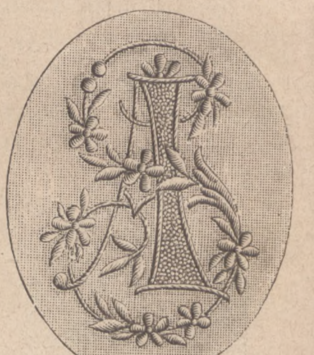
N. 1 — 2. Szlaczki z narożnikami.

Odpowiednie do serwetek i t. p. wyszyte są ściegiem luźnym, kilkoma kolorami lub jednym do cieniu.

N. 3. Zasłona na lampę.

Na ryc. 3 przedstawiamy wzór zasłony na lampę, w nowym rodzaju, efektowną i pośpieszną w robocie. Jest to malowanie akwarellą na papierze pergaminowym; kontury potrzeba najpierw odznaczyć chińskim tuszem, a deseń kolorami pięknie dobranemi. Ponieważ pergamin jest mocny, nie potrzeba więc brzegów niczem podklejać; u góry dane małe okrągłe dziureczki, w które nawleka się plecionkę jedwabną, a całą skończoną umbrelkę zagina w 32 kwaterek.

(D. c. n.)



N. 28. Monogram do r. 26.